MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 47. WARSZAWA, 17 LISTOPADA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

WAWRZYNY

W ATMOSFERZE zbliżającego się święta niepodległości odbyło się uroczyste publiczne posiedzenie Polskiej Akademji Literatury z „recitalem" rej tam wodzących pp. Sieroszewskiego prezesa i Kadena-Bandrowskiego generalnego sekretarza. Pierwszy zagaił i odczytał listę osób, nagrodzonych po raz pierwszy przez Akademję odznaką „Wawrzynu", drugi — wygłosił prelekcję „O powołaniu pisarza".

Kto ze starszych pisarzy mógł się spodziewać, że dane mu będzie usłyszeć z tak wysokiej trybuny tak wielkiej mądrości wymagającą rekolekcję? I usłyszał, rozstrząsnął swoje sumienie, bo przecież niemało dręczyła go troska, czy powołanie swoje godnie spełnia. Wystawił mu przed oczy ideał pisarza nie byle kto—sam Kaden-Bandrowski, radosny twórca wespół z p. Januszem Jędrzejewiczem Akademji Literatury, Tow. Krzewienia Kultury Teatralnej, nawet powieści (mało czytanych).

Dajmy jednak pokój żartom. Zbyt daleko zabrnęliśmy w tragikomedję. Nie mamy już ochoty patrzeć dłużej na krotochwile w tym stylu. Przywykliśmy ostatniemi czasy brać pół-żartem nawet to, co sami robimy i za co niesiemy odpowiedzialność. Jest to przedłużanie w nieskończoność tego stosunku do spraw publicznych, który istniał za czasów niewoli. Administracja rosyjska, austrjacka czy pruska wyczyniała sztuki z naszą kulturą, a myśmy się śmiali. — Nic nam nie zrobią — mówiliśmy — przetrwamy. Ale przychodzi, zdaje się, czas, że możemy mówić o tych rzeczach serjo.

Skądże przyszło do tego, że polski świat literacki, mający chyba dostateczne tradycje na to, aby go poważnie traktować, ma dźwigać na sobie instytucję reprezentacyjną i kierowniczą, na której czele stoją ludzie nie mający kultury ani powagi? Opinja świata literackiego nie miała nic wspólnego wogóle z kreowaniem Akademji, tem mniej z pomysłem takiej hierarchji: Jędrzejewicz, Sieroszewski, Kaden, Rzymowski... Skądże ni stąd ni zowąd ten los, że nas ci nieproszeni patronowie segregują jak baranów na klasy, numerują, stemplują, wystawiają na pokaz, w cień chowają, lub ośmieszają?

P. Jędrzejewicz z p. Kadenem założyli sobie instytucję, bo jakoby taka kancelarja potrzebna była do „współpracy z państwem". Miała projekty aktów przeglądać, czy coś podobnego. Wolno, jak wiadomo, robić co się podoba w tym zakresie biurokracji, skoro pieniądze są i amatorzy liberji. Ale apetyty były większe, zachciewa się rządów w republice wolnej twórczości. Pan Kaden z Sieroszewskim i Rzymowskim już laury rozdają, pieniędzmi szafują na wynagradzanie tych lub owych, sortują literatów, artystów, ludzi nauki według swej miary.

Czemże u licha jest p. Kaden w literaturze? Pisze. To bardzo pięknie, — ale brzydko pisze. Ale i niejaki Wojciechowski analfabeta też pisze, i nawet ozdobiony został wawrzynem za to, że napisał pamiętnik dla celów naukowych socjologji. Wygląda to tak, jakby się dawało doktorat medycyny komuś, co w klinice pozwoli się użyć do demonstrowania na sobie wykładu. Pan Kaden Bandrowski jest sam, jako pisarz, materjałem zaledwie do kliniki krytyki literackiej. Dlaczegóż on właśnie ma pouczać o powołaniu pisarza i nagrody rozdawać? P. Sieroszewski ma zapewne sporo talentu narracyjnego, ale po polsku źle pisze, nie ma wykształcenia i należy do najbardziej naiwnych artystów (*natursängerów*). Obaj zajęli miejsca nieodpowiednie z nominacji p. Jędrzejewicza, nigdy przecież świat literacki na te stanowiska samby ich nie powołał.

Instytucja nagród i „Wawrzynu" ma uzupełniać hierarchję, rozpoczętą od dachu w postaci Akademji. Niewątpliwie są w Akademji osobistości godne tego odznaczenia, ale jak one się tam czują, dowodem to, że zaledwie kilku z nich zjawi-

ło się na dorocznej uroczystości. Oto wykaz nagrodzonych złotym wawrzynem:

1) Za wybitną twórczość literacką: Zygm. Bartkiewicz, W. Borowy, Marja Dąbrowska, F. Goetel, Artur Górski, K. Iłłakowiczówna, Alfred Konar, Jan Lechoń, Kornel Makuszyński, Stanisław Miłaszewski, Ostap Ortwin, Marja Pawlikowska, Marja Rodziewiczówna, Józef Ruffer, Andrzej Strug, Aleksander Świętochowski, J. Tuwim, M. Wielopolska, K. Wierzyński, St. Witkiewicz, Emil Zegadłowicz.

2) Za wybitną twórczość krytyczno-literacką, naukową i publicystyczną w dziedzinie literatury pięknej: Al. Brückner, Roman Dyboski, Jan Lorentowicz, Jan Gwalbert-Pawlikowski, Edward Porębowicz, Antoni Potocki, Artur Śliwiński, W. Stpiczyński, Józef Ujejski.

3) Za wybitne zasługi dla dobra literatury polskiej: Bernard Chrzanowski, Stef. Demby, dyr. Biblj. Narod., M. Jaworska, wiz. szkół, Al. Patkowski, St. Podwysocki, H. Radlińska, F. Sławoj-Składkowski, Jakób Wojciechowski robotnik, K. Wóycicki, W. Zawistowski, L. Żeligowski gen. broni.

4) Za wybitne zasługi dla polskiej sztuki wogóle: Ksawery Dunikowski, rzeźbiarz, H. Kuna, rzeźbiarz, Józef Mehoffer malarz, Eug. Morawski rektor Kons. Muz., Z. Mączeński architekt, T. Pruszkowski, rektor Akad. Sztuk Pięknych, Cz. Przybylski arch., Karol Szymanowski, Leon Wyczółkowski.

5) Za krasomówstwo: Ign. Daszyński, B. Miedziński, Ignacy Paderewski, K. Sosnkowski gen. dyw.

6) Za krasomówstwo sądowe: M. Ettinger adw., F. Paschalski adw., St. Patek adw., Rudnicki prok.

7) Za szerzenie zamiłowania do polskiej literatury dramatycznej: K. Frycz, Stefan Jaracz, L. Schiller, Ludwik Solski, K. Junosza-Stępowski, A. Szyfman, Stanisława Wysocka.

Z tych siedmiu kategoryj tylko dwie pierwsze mają z literaturą ścisły związek i ważne są z tego względu, że wyznaczają kandydatów do Akademji. Określono kontyngent w liczbie 30 osób dla tych dwu grup. Nie było widocznie głosowania, były targi. Każdy akademik usiłował wprowadzić swoich przyjaciół, robiono sobie wzajemne ustępstwa. P. Rzymowski wprowadził w ten sposób do grona nieśmiertelnych kolegę z „Kurjerka" p. Stpiczyńskiego i koleżankę Wielopolską, wiceprezes Staff przyjaciół ze Lwowa (w Warszawie mało znanych) Ostapa Ortwina (Katzenelenbogen) i — rzeczywiście zresztą wybitnego poetę — Józefa Ruffera i t. p. Ponieważ w kontyngencie krytyki nie było już miejsca, wpakowano Ortwina do kategorji „twórców". Pewno dlatego, że wszedł Stpiczyński, nie było tu także miejsca dla znakomitego krytyka Borowego, więc znalazł się także wśród twórców. Nie wiedzieliśmy dotąd nic o tem, że p. Artur Śliwiński zajmuje się krytyką literacką. Oczywiście akademicy powieściopisarze bronili się przeciw młodym talentom, puścili parę osób starszych, jak Konar (Freidensohn) lub Rodziewiczówna, ale oczywiście śladu niema, że istnieje Morcinek, przez niego bowiem minęła Kadena nagroda śląska. A szkoda, bo Morcinek to wybitna pozycja w naszej literaturze, wprowadził bowiem do niej ziemię śląską.

O tem, żeby kiedykolwiek znaleźli drogę do Akademji: W. Bruchnalski, Ignacy Chrzanowski, Stanisław Pigoń, Adam Grzymała-Siedlecki i inni tej miary badacze literatury i krytycy — mowy być nie może. Jest też złoty wawrzyn dla krasomówców. Otrzymali go: Daszyński, Miedziński; adwokaci: Ettinger, Paschalski, prok. Rudnicki. W Akademji do głowy nikomu nie przyszło, żeby uwzględnić kaznodziejstwo, które tak wielką rolę odegrało w dziejach literatury. Odznaczono więc laurem adwokata we Lwowie dlatego, że jest szwagrem wesołego piłsudczyka, ale nie spostrzeżono, że w tymże Lwowie istnieje arcyb. Teodorowicz, postać wielka w literaturze kaznodziejskiej, a w Warszawie biskup Szlagowski. Są przecież ich dzieła w bibljotekach.

Można sobie wyobrazić, co się dzieje w srebrnych kategorjach, gdzie szafowaniu łaską pańską nic nie kładło tamy. Mamy tam przeszło setkę laurów w 3/4 danych osobom nieznanym. Nigdzie pod żadnym pretekstem nie wymieniono nazwiska pisarza śląskiego Morcinka, ani Kossak-Szczuckiej; rozdano mnóstwo odznak za krzewienie czytelnictwa, nie wspomniano jednak o tytanie pracy w tym kierunku, Stemlerze. Dostał zato nagrodę dyrektor biura sejmowego Pampuch, dostał lustrator pożarniczy Partyka, o Stemlerze nie słyszano.

Nikt nie słyszał w Akademji Literatury o Macierzy Szkolnej, o Tow. Szkoły Ludowej, nikt nie słyszał o Kasie Literackiej (Ignacy Baliński, Rodkiewicz), Tow. Literatów i Dziennikarzy (Śliwowski). Oni bez wawrzynu pracować będą nadal, ale ta mała znajomość stosunków i koteryjność Akademji źle świadczy o jej kwalifikacjach, jako opiekunki literatury. Akademja Literatury ma np. jakieś wiadomości o wybitnych zasługach dla literatury gen. Żeligowskiego lub robotnika Wojciechowskiego, ale nie wie o istnieniu St. Michalskiego (Kasa Mianowskiego, Fundusz Kultury), lub Stanisława Pigonia, który tyle zrobił choćby dla pogłębienia wiedzy o Mickiewiczu. Dlaczego? Bo zajął krytyczne stanowisko wobec Boya-Żeleńskiego w sprawie Mickiewicza.

Bardzo jest wesoło w Akademji, skoro można tak się bawić kosztem powagi literatury polskiej, ale pytanie: czy jest jakikolwiek sens istnienia takiej Akademji? Naszem zdaniem niema najmniejszego. Przekonaliśmy się o tem z jej sprawozdań rocznych i z tych wawrzynów, od których uczyniło się w świecie laurowo, ale i bardzo niemiło. Dobre to może na horyzonty Kadenów i Jędrzejewiczów, ale szkodliwe dla organizującego się społeczeństwa. Według naszego przekonania, które wypowiadamy zupełnie serjo, należy zamknąć Akademję. Nie są to czasy odpowiednie na tak kosztowne zabawki — i sprawa zbyt poważna. Jedyny był z niej pożytek, że kilku zasłużonych, a niezamożnych pisarzy znalazło w niej oparcie materjalne. I to można zachować — wyznaczyć dożywotnią pensję, choćby niewielką, tym, którzy innych płac skądinąd nie biorą. Jeżeli zaś są istotnie jakieś funkcje w dziedzinie organizacji literatury do uwzględnienia, to je doskonale spełniać może Akademja Umiejętności w Krakowie.

Dosyć już mamy tych radosnych „nadzwyczajek" pomajowych.

M. N.

Staraniem wydawnictwa „Myśli Narodowej" i na jego dochód urządzony będzie w piątek, dnia 15-go b. m. **odczyt prof. ROMANA RYBARSKIEGO** p. t. **„DROGI WYJŚCIA"**. Odczyt odbędzie się w wielkiej sali Tow. Hygjenicznego (przy ul. Karowej). Początek o g. 8. Ceny biletów 50 gr. i 1 zł.

ROZPROSZENIE JAKO KALECTWO

PRZYSTĘPUJĄC do oceny rozproszenia żydostwa pod kątem widzenia dobra i zła, sprawiedliwości i niesprawiedliwości i t. d. czyli pod kątem widzenia etyki, należy na wstępie zaznaczyć, że za miernik do odnośnej oceny jest brany i może być brany tylko miernik narodów rdzennych, a nie miernik żydowski.

Poziom etyczny danego społeczeństwa jest wyrazem jego historycznego rozwoju, różnorodnych warunków jego bytu.

Inaczej przedstawia się dobro w pojęciach ludzi, żyjących w warunkach bytu osiadłego, inaczej w warunkach koczownictwa; inaczej w warunkach zamieszkiwania w zwartych masach w swoim kraju, czyli wśród swoich i u siebie, inaczej w cudzych krajach, wśród obcych, w rozproszeniu, zwłaszcza, jeżeli taki byt wśród obcych ma być uważany przez dany żywioł za jego byt „normalny", za jego byt „naturalny".

Dla narodów rdzennych dobro wyraża się w zabezpieczeniu ideałów i potrzeb ich członków, a ponieważ ci członkowie, jak wynika pośrednio z powyższego, muszą mało różnić się między sobą w ujmowaniu dobra i zła, (tem więcej, że, jako członkowie tegoż społeczeństwa, nie są oni zainteresowani w czynieniu szkody swoim rodakom), więc ich pogląd na swoje dobro, na swoje zło, nie koliduje z dobrem ogółu.

Ponieważ narody rdzenne w Europie rozwijały się naogół w jednakowych warunkach, poziom etyczny ich wszystkich mało różni się między sobą. Ten poziom, można twierdzić, jest u nich mniej więcej jednakowy.

Gdy mówi się o etyce narodów rdzennych, ma się na względzie czystą psychikę szerokich mas, tkwiącą na dnie ich duszy narodowej, a więc nie skażoną wpływami obcego żywiołu żydowskiego, który obrał sobie rozproszenie za „normalny" tryb swego bytu, a który, wobec tego, musiał wytworzyć dla siebie swoistą etykę.

„Dobre" w pojęciu żydostwa może być i musi być to, co jest korzystne dla jednostki żydowskiej. „Złe" jest to, co jest dla niej niekorzystne. A ponieważ w warunkach rozproszenia, jako stałego bytu wśród obcych, ta korzyść musi powstawać z krzywdą tych obcych, czyli ludności rdzennej, przeto pogląd żydowski na „dobro" i „zło" czyli etyka żydowska, musi stale kolidować z dobrem i złem tej ludności rdzennej, czyli z jej etyką.

Wobec takiej stałej kolizji tych dwu etyk, któraż z nich może być uważana za obowiązującą w krajach europejskich?

Jasne jest, że nie żydowska. Należąc bowiem do rodziny narodów europejskich, musimy podchodzić do oceny wielkich przejawów życia zarówno swego jak i obcego, a więc i żydowskiego, ze swoim miernikiem etycznym, a nie z miernikiem obcym, bo pomijając nakaz instynktu samozachowawczego, takie niestosowanie się do swego miernika byłoby sprzeczne z etycznemi przeżyciami najszerszych mas, byłoby niezgodne z naszym poziomem etycznym, czyli godziłoby w naszą etykę, w nasze najgłębsze poczucie prawdy i dobra.

Czy ta nasza etyka „krzywdzi" żydów? Przecież nie narody rdzenne napadają na żydostwo, a ono broni się; naodwrót, żydostwo napada, a narody rdzenne bronią się przed mnóstwem krzywd, wynikających dla nich z najazdu żydostwa na ich kraje ojczyste.

Gdyby żydostwo obrało sobie byt w zwartej masie na obszarze własnego kraju za normalny tryb swego bytu, jak reszta narodów, nie byłoby powodów do narzekań ze strony żydostwa, nie byłoby „krzywdy", bo wówczas i etyka żydowska musiałaby być inna.

Ponieważ żaden z narodów europejskich — o nie nam chodzi — wśród których żydostwo uznało za pożądane dla siebie rozmieścić się, nie wpłynął na zaniechanie przez żydostwo wyboru bytu osiadłego, jako jedynie właściwego, to winę za skutki tego kroku musi ponosić samo żydostwo, a nie narody rdzenne. To samo trzeba powiedzieć o winie za niewłaściwą etykę żydowską, będącą wynikiem wyboru niewłaściwego trybu życia.

Zresztą przypuśćmy na chwilę, że słuszne jest stanowisko żydostwa, iż etyka żydowska, a nie etyka swoja winna obowiązywać narody rdzenne w krajach Europy. Ale dlaczegóż w takim razie sami żydzi nie chcą mieć u siebie w Erec Izrael swoich rodaków, którzy nie zarzucili swojej „etyki" z diaspory?

Wódz żydowski w skali rozproszenia żydowskiego, I. Grinbaum, w lipcu 1927 r. pod adresem swych przeciwników mówił w Warzawie:

„my was oskarżamy, żeście rozsiewali wśród żydów hasło, iż do Erec Izrael można jechać tak, jak kiedyś do Ameryki, iż można nie zmieniać swego dotychczasowego trybu życia..." („Moment", W-wa, 152, 1927 r.)

Takich opinij można przytoczyć dziesiątki. A zatem sami żydzi, co prawda w odniesieniu do Erec Izrael, osądzają swoją „etykę".

Czy i ten ostatni argument nie dowodzi, że pretensje żydostwa pod adresem narodów rdzennych są oparte na niewłaściwej etyce, a jako takie nie mogą być i nie powinny być brane pod uwagę?

Omawiając rozproszenie pod kątem widzenia etyki narodów europejskich, nie można pominąć przedewszystkiem tych pobudek, któremi kierowało się żydostwo, gdy zaczęło stosować byt w rozproszeniu. Te pobudki musiały tkwić w chęci jednostronnego wyzyskania zasobów materjalnych u innych narodów, zwłaszcza u tych, które zerwały z koczownictwem i osiadły w zwartej masie na pewnych obszarach.

Palestyna—to kraj mało żyzny. Udanie się żydów na handel do obcych krajów rokowało im zyski, które miały być zwożone, przynajmniej raz w roku do ich ojczyzny („Na drugi rok w Jerozolimie!"). Dopóki wyjazd na „zarobek" obejmował kraje ościenne, można było corocznie odwiedzać swój kraj ojczysty i gromadzić w nim bogactwa zdobyte na obcych. Gdy jednak te wyjazdy ogarnęły dalsze kraje, odwiedziny coroczne swojej ojczyzny musiały być zaniechane, ale korzystanie z zasobów obcych narodów trwało. Tak powstało rozproszenie, które, obejmując kraje co-

raz dalsze od Palestyny, jako od ośrodka duchowego, trwa aż do chwili obecnej.

To rozproszenie wtych warunkach jest więc właściwie dalszym ciągiem koczownictwa, tylko już nie pierwotnego, nie nieświadomego, jak u innych szczepów na niskim poziomie kultury, a przeciwnie, koczownictwa świadomego, złośliwego, opartego na chęci wyzyskiwania swego otoczenia osiadłego.

Za miarę złośliwości tych pobudek żydostwa wobec swego otoczenia trzeba uznać fakt, że nie jakiś drobny odsetek tego żywiołu rozmieścił się wśród obcych, ale cały „naród“ ten stał się rozproszony.

Nawet w okresie państwowości żydowskiej większość tego żywiołu żyła w rozproszeniu (por. Graetz, S. Pietruszka i inni).

Sami żydzi nie przeczą, że rozproszenie powoduje władzę żydostwa nad narodami rdzennemi m. inn. w zakresie finansowym. Znany literat, oficjalnie „duński“, Jerzy Brandeis vel Kogen, do dziennikarza żargonowego z Polski, który odwiedził go w Kopenhadze w 1925 r., powiedział w zaufaniu:

„rozpatruję cały syjonizm z punktu widzenia powiększenia władzy („macht“) żydowskiej. W Palestynie żydzi, być może, mogą stać się nacją, lecz nacją bezwładną, podczas gdy żydzi, będąc rozproszeni po całym świecie, posiadają o wiele więcej władzy i panują nad finansami...“ („Najer Hajnt“ W-wa 87 1925 r.)

Żyjąc w warunkach rozproszenia, żydostwo wyzyskuje dorobki materjalne i duchowe narodów rdzennych, ale wzamian nie jest w stanie dać tym narodom odpowiedniego równoważnika. Wszelkie bowiem przejawy twórczej działalności żydowskiej w tych warunkach—zarówno w dziedzinie materjalnej jak i duchowej, — są przeniknięte i muszą być przeniknięte złą wolą, mianowicie wolą osłabienia tego otoczenia, pozbawienia go jego siły odpornej — czy to materjalnej, czy duchowej—na swój najazd na kraj ojczysty tego otoczenia. Skoro zaś nie jest żydostwo zdolne do dawania równoważnika za osiągane korzyści w w warunkach rozproszenia, to istotę tego bytu stanowi jednostronne wyzyskiwanie skarbów duchowych i materjalnych tych narodów. Taki tryb życia określa się jako pasorzytowanie.

Znamienne jest, że w otoczeniu własnem najwybitniejsi przywódcy żydowscy (Bialik, Weizman, Grinbaum, Żytłowski i t. d.) stwierdzają ten fakt pasorzytowania żydostwa w obecnych warunkach jego bytu. Przytoczmy zdanie tego ostatniego, który w maju 1930 r., w swoich wspomnieniach z lat młodzieńczych m. in. pisał:

„dla mnie osobiście ideologja kosmopolityczna przez przez pewien czas była kojącym balsamem na ranę, którą rzeczywiście odczułem w swojej duszy, odkąd mnie wyjaśniono, że my, żydzi, pędzimy żywot pasorzytów... żydzi są pasorzytami...“ („Moment“, 113, 1930 r.)

Będąc w warunkach rozproszenia — skazane na pasorzytowanie, żydostwo może pędzić ten żywot tem łatwiej, im w większym stopniu będą przez nie ujarzmione te narody, na których ono pragnie pasorzytować. Rzecz naturalna, takie postępowanie jest krzywdzące i narody rdzenne muszą burzyć się przeciw zdzierstwu. Na dnie duszy żydowskiej nie może nie tkwić świadomość krzywdzącego postępowania. Ale, z drugiej strony, żydostwo nie może pogodzić się z oporem ze strony swoich ofiar. Przezwyciężając ten sprzeciw narodów rdzennych,—a na to przezwyciężenie musiała wszak złożyć się cała dotychczasowa historja żydostwa, oparta na rozproszeniu—żydostwo wytworzyło w swej duszy nienawiść do całego swego otoczenia, do „gojów“.

Znamienne, że ta nienawiść do narodów rdzennych jest u żydostwa tym silniejsza, im wybitniejszą duchowo jest jakaś jednostka pośród żydostwa. Weźmy Izraela Zangwill'a, jednego z wodzów światowego żydostwa, o którym organ syjonistów-rewizjonistów — *„Razswiet“* w czerwcu 1925 r. m. in. doniósł:

„jako żyd, jest on zdolny rzucić w twarz światu zewnętrznemu taką filipikę, której nawet my, słynni szowiniści, nienawidzący ludzi i t. d., z *„Razswieta“*, nie odważylibyśmy zacytować. U nas w portfelu redakcyjnym już cztery miesiące leży tłumaczenie jego poematu — „Goje“: kilkakrotnie próbowaliśmy go zmiękczyć, lecz nawet w formie złagodzonej wydrukować go nie odważamy się—i nie odważymy się..“ (*„Razswiet“*, Paryż, 25, 1925 r.)

Obrawszy rozproszenie za „normalny“ tryb swego życia, żydostwo musi dążyć do złamania układu stosunków u narodów rdzennych, aby przystosować go do swoich potrzeb, bo tylko wówczas będzie możliwy ten „normalny" jego byt. To łamanie, czy zniekształcenie tego systemu życia, który narody rdzenne usiłują sobie wytworzyć, musi objąć wszystkie dziedziny — polityczną, kulturalną i gospodarczą. „Goje“ opierają się, ale żydostwo z tem się nie liczy.

Wódz syjonistów-rewizjonistów, Wulf Żabotiński, mówiąc o traktacie o mniejszościach, narzuconym w 1919 r. szeregowi narodów rdzennych, m. in. wyznał w kwietniu 1928 r.:

„przecież cała historja żydowska — to przykłady nieliczenia się z gojem i z narzucania naszej woli jemu na przekór...“ („Hajnt“, W-wa, 86, 1928).

Zniekształcanie układu życia, koniecznego dla rozwoju narodów rdzennych, byłoby dla żydostwa niemożliwe, gdyby w łonie tych narodów nie posiadało ono swoich pomocników i to na kierowniczych placówkach, bowiem ich pomoc na podrzędnych stanowiskach byłaby bezkuteczna w narzucaniu „woli żydowskiej" gojom „na przekór".

Ci pomocnicy żydowscy, czyli „przywódcy" w łonie poszczególnych narodów rdzennych, muszą czuć i myśleć kategorjami „etyki" żydowskiej, w przeciwnym bowiem razie nie mogliby stać po stronie żydostwa.

Jeżeli zło po stronie otoczenia jest warunkiem dobra żydostwa i odwrotnie, dobro otoczenia jest warunkiem zła żydostwa, to żydostwo musi dążyć do wypaczania pojęć dobra i zła, czyli musi obniżać poziom etyczny otoczenia, bo tylko wówczas możliwe będzie dla żydostwa wysuwanie na powierzchnię życia narodów rdzennych ludzi sobie dogodnych. Jasne jest, że społeczeństwo, mając takich „przywódców", zatraca poczucie swego dobra i swego zła, a gdy organizm narodowy zatraca te poczucia, powoli zaczyna on marnieć, niszczeć, zaczyna on tracić głos i znaczenie na obszarze własnego kraju na rzecz obcego żywiołu, aż wkońcu znika on z szeregu tych narodów, które mają zdolność zabierania głosu w sprawach swojej teraźniejszości i swojej przyszłości. A taki skutek dla tych narodów jest wszak koniecznym

warunkiem pasorzytowania żydostwa, czyli jego „normalnego" bytu.

Byt pasorzytniczy w ciągu dziesiątków pokoleń — wszak on trwa od samego zarania historji żydowskiej — skrzywił duszę żydowską do tego stopnia, że żydostwo nie jest już zdolne do dobrowolnego zerwania z dotychczasowym trybem bytowania, czyli do dobrowolnego skupienia się w zwartej masie bądź w Palestynie, jako kraju żydowskim, bądź w innym kraju (np. w Biro Bidżanie), jeszcze niezaludnionym i posiadającym warunki do stania się krajem żydowskim. Pod tym względem znamienne jest stanowisko syjonistów, głoszących oficjalnie hasło odbudowy państwowości żydowskiej nad Jordanem, dokoła góry Syjonu (stąd syjoniści).

Syjoniści mówią o tej odbudowie, ale nie śpieszą się. Na to wskazuje tempo emigracji do Palestyny. W 1930 r. emigrowało do tego kraju — 4.944 żydów, a w 1933 r. czyli pod wpływem Hitlera w Niemczech—30.227 żydów („Hajnt" 159/1935 r.). Na ten brak chęci do dobrowolnego zerwania z wygnaniem wskazuje początek emigracji żydowskiej nad Jordan. Mianowicie, pierwsza emigracja do Palestyny nastąpiła w 1832 r. pod wpływem t. zw. pierwszego pogromu w Rosji w 1881 r.

Zresztą, oto są słowa prezesa światowej organizacji Syjon., Nach. Sokołowa, na XIX kongresie syj. w Lucernie, w dn. 20.VIII 1935 r.:

„żydowskie rozproszenie istniało stale i nadal będzie ono stale istniało w mniejszym lub większym zakresie... W Erec Izrael będą wyhodowane korzenie żydowskiego narodu, którego góra wzniesie się nad światem. Jest to nasza pociecha..." („Moment", 194, 1935).

Opinja to tak dalece miarodajna, że zbytecznie byłoby przytaczać świadectwa innych syjonistów, wskazujące pośrednio na niezdolność psychiczną żydostwa do dobrowolnego zerwania z rozproszeniem.

Na wymienionych wyżej przejawach poziomu etycznego żydostwa w warunkach jego bytu w rozproszeniu można się ograniczyć. One dostatecznie uwypuklają „dojrzałość" etyczną tego żywiołu.

Na wstępie było zaznaczone, że przy rozpatrywaniu rozproszenia pod kątem widzenia etyki, można i należy stosować miernik narodów rdzennych. Powyższa treść potwierdziła, zdaje się, niezbicie słuszność tego założenia.

Ale, jeżeli tak jest, że „etyka" żydowska jest niedopuszalna w stosunkach naszych, a ta „etyka" rozwija się w Europie wskutek bytu żydostwa w rozproszeniu, to narody rdzenne muszą przedsięwziąć kroki ku usunięciu w swoich krajach źródła tej „etyki" czyli ku usunięciu bytu żydostwa w rozproszeniu.

Jak to zapoczątkować? Należy przedewszystkiem zacząć od cofnięcia żydostwu we wszystkich dziedzinach życia przywileju, zwanego „równouprawnieniem", wynikłego wskutek pozbawienia narodów rdzennych ich przyrodzonych praw gospodarza w krajach ojczystych.

Tylko wówczas żydostwo zacznie szczerze zrywać z rozproszeniem. Z takiej postawy narodów rdzennych dostrzeże, że innego wyjścia niema, że w przeciwnym razie grozi mu katastrofa. Bez przymusu żydostwo nie jest psychicznie zdolne do zerwania z tym stanem, który zwie się rozproszeniem, a który powoduje jego dotychczasowy — delikatnie wyrażając się—daltonizm etyczny.

A zatem względy etyki dyktują narodom rdzennym w Europie konieczność usunięcia żydostwa z pośród siebie.

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

FRANCISZEK NOWICKI

(Dokończenie)

III

NAJBARDZIEJ społecznikowski jest sonet p. t. „Kosodrzew". Treść jego jest zasadniczo ta, że przyziemne łany kosówki, opierając się zwycięsko burzom i lawinom, pną się coraz wyżej i przygotowują grunt wysokim drzewom, które w ten sposób zdobędą kiedyś szczyty i pogrzebią pod sobą góry, „trupie przeszłości pomniki". Jest to więc alegorja: owe łany kosówki, „tłum nizki i podły", to uciśnione dziś masy ludowe, — „martwe przeszłości pomniki", szczyty wysokie, to szczyty społeczne, sfery panujące... Z punktu widzenia przyrodniczego alegorja ta jest chybioną, bo porost wysokich lasów nie od przygotowania materjalnej gleby, ale od niematerjalnego klimatu zależy; powołanie się na licencję poetycką nie usuwa wrażenia fałszu. Z punktu zaś widzenia taternickiego hasło zniwelowania gór przedstawia się opacznie, — przypomina ono z utylitarnego ducha Oświecenia zrodzone zdanie Staszica: „Zdaje się w przeznaczeniu tej ziemi zbytnia wysokość gór już niepotrzebną". W ustach bojownika ze zmaterjalizowanym duchem pozytywizmu i w ustach „poety Tatr" brzmi to paradoksalnie... Od tej „demokratycznej" tendencji milszą chyba będzie taternikowi „arystokratyczna" tendencja Asnyka, zawarta w wierszu o limbie, której to koncepcji Nowicki być może świadomie swym „Kosodrzewem" chciał się przeciwstawić: limba przed naporem tłumu podlejszych drzew ucieka w górską samotność, w mroźne powietrze wierchów.

Drugim z kolei utworem społecznikowskim jest „Szarotka". Góral, nędzą zmuszony, wspina się dla zdobycia marnego grosza na przepaścistą turnię po szarotkę; przepaść zamyka mu drogę powrotną i chyba nie ujdzie z życiem... Kroniki tatrzańskie nie zanotowały jednak jeszcze wypadku zabicia się górala wspinającego się za szarotką, natomiast zabijają się cepry, nie dla marnego grosza,ale... dla niczego. Utwór ten tchnie jakimś całkiem naiwnym sentymentalizmem. — Wreszcie trzecim utworem, który już nie treść, ale *pointe* ma społecznikowską, są „Mgły na szczytach". Sonet maluje obraz mgieł, które zdają się, jak morze, cały świat zatapiać, a kończy się następującą refleksją:

„Mgły! Was lekki wiatr spędzi — gór szczyty odsłoni!
Tam — w dole — jakaż burza przejść musi szalona,
Zanim ćmiące mgły z czoła ludzkości rozgoni?"

I na tem koniec!... Na dwadzieścia jeden sonetów, te trzy tylko zawierają społecznikowską tendencję, i to tendencję, której ciężar gatunkowy jest zupełnie nikły, która przeto o charakterze tatrzańskich sonetów Nowickiego decydować nie może.

A jednak opinja o społecznikowskim charakterze tych utworów jest chroniczna; kiedy odnieść ją można do siły bezwładu, to jest to przynajmniej zrozumiałe, trudniej jednak zrozumieć jej źródło. Źródłem tem zdaje się być rozprawa Tad. Piniego, zawarta w książce wydanej w r. 1902 p. t. „Nasza współczesna poezja". W sposób trudny do pojęcia, zapewne pod suggestją społecznikowskich „Pieśni Czasu", autor przeprowadza tu tezę o społecznym charakterze tatrzańskich sonetów, a wmówiwszy w siebie ten sąd, powtarza go już krótko i apodyktycznie w przedmowie do drugiego, przygotowanego przez siebie (1904) wydania poezyj Nowickiego. Wedle niego „Tatry" „należą do poezji społecznej i są niewątpliwie najpiękniejszym jej wyrazem, na jaki młodsze nasze pokolenie się zdobyło" (!!!). — A w najnowszym czasie pisze K. Czachowski w książce „Obraz współczesnej literatury polskiej, 1884 — 1903", t. I (Lwów 1934), jak następuje: „Żywiołowe pragnienie wolności, mocne poczucie tej prawdy wewnętrznej, że sprawa niepodległego bytu państwowego jest najrealniejszą potrzebą człowieka, znalazły u Nowickiego najsilniejszy wyraz w cyklu sonetów „Tatry", należącym zarazem do najpiękniejszych przejawów tego wątku w całej poezji polskiej (!!!)... Nowe piękno Tatr, w których objawia się nietylko wielkość przyrody górskiej... lecz i upostaciowanie podziemnie nurtującej, zbiorowej tęsknoty narodowej do czynnej walki, odkrywają niemal równocześnie Nowicki, Witkiewicz i Tetmajer" (!!!). Na wszystkie te, z taką emfazą i apodyktycznością wygłoszone, twierdzenia, od początku do końca, nie mógłby autor przytoczyć ani jednego przykładu z wyjątkiem chyba zakończenia sonetu wstępnego. Tu poeta zapytuje, co za tęsknota ciągnie go do Tatr, i odpowiada:

„O pustyni tatrzańska, bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze swobody ołtarze!"

To jest piękne — ale za dowód na przytoczone twierdzenie Czachowskiego chyba nie wystarcza; innych dowodów ani śladu! A tak samo niema ich w tatrzańskich utworach Witkiewicza i Tetmajera; co więcej, poezję tatrzańską Tetmajera wprost charakteryzują tendencje antyspołeczne. Podobnie niedorzeczne jest pojawiające się w krytyce zdanie, że „Tatry" Nowickiego są tem w poezji, czem „Na Przełęczy" Witkiewicza w prozie. Tymczasem nietylko że w sposobie patrzenia i obrazowania, jak i stylu, żadnego powinowactwa między tymi autorami niema, ale kiedy znaczenie Witkiewicza dla literatury tatrzańskiej polega na „odkryciu" ducha góralszczyzny, to poezja Nowickiego jest wyłącznie krajobrazową, a o ludzie niema w niej wogóle mowy.

Poezja tatrzańska po przebyciu jakoby okresu dzieciństwa, weszła w swój okres klasyczny z Asnykiem [1]), i objęła — prócz gromady pomniejszych — cztery naczelne nazwiska: Asnyka, Nowickiego, Tetmajera i Kasprowicza. Przypada więc ten klasyczny okres na historyczno-literackie epoki pozytywizmu, neoromantyzmu i Młodej Polski; romantyzm nie dał Tatrom dzieła na wyższą miarę. Asnyk inauguruje swoją tatrzańską twórczość wprost zwrotem przeciw romantyzmowi w wierszu do przewodnika Macieja Sieczki:

„Mój przewodniku, tyś mnie wiódł przez góry
Dając mi poznać ich poezję świeżą,
Nagą, dziewiczą piękność tej natury
Niezeszpeconą mdłych legend odzieżą...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tyś mnie nauczył czuć ją silniej, lepiej,
Bez wykrzykników i przenośni bladej,
I w dzikich formach, które ona sklepi,
Nie szukać natchnień niemieckiej ballady...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tyś mnie nauczył drapiąc się na turnie,
Nie brać przyborów romantycznej muzy.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Żadne się bowiem widmo nie przyswoi
Tej wyniesionej pod niebo pustelni,
Gdzie tylko jeden duch na straży stoi,
Bez kształtów, w które chcą go wprządz śmiertelni,
Duch wszechświatowy, duch wód i kamieni,
Co się w milczącej unosi przestrzeni."

Ten program znajduje pewne dopełnienie we „Wstępie" do tatrzańskiego cyklu, gdzie poeta zbliżenie się do przyrody uważa za środek hygjeny duchowej:

„Musimy z tobą w zgodzie żyć — inaczej
Duch się obłąka w mgle urojeń ciemnej,
W złudnych zachwytach, bezpłodnej rozpaczy,
W sennem omdleniu, lub w walce daremnej,
I poza światem pędzi żywot chory,
Nie mając twardej dla siebie podpory."

Odbija się w tem wyraźnie duch epoki pozytywistycznej, — Młoda Polska ten stosunek do przyrody obróciła na nice; przyroda stała się dla niej wyrazem tęsknot metafizycznych. Dusza, zlewając się z przyrodą, wyraża się i tłumaczy przez nią, — ona staje się narzędziem wypowiedzenia się podświadomych głębin duszy, rzeczy bezpośrednio niewyrażalnych. Posługuje się tem narzędziem liryka egotyczna Tetmajera, a także Kasprowicza. Liryka tatrzańska Nowickiego zasadniczo nie jest egotyczną [2]). Jest to liryka opisowa i w tem jest Nowicki pokrewny Asnykowi. Niekiedy w samym opisie krajobrazu tkwi liryczne wzruszenie, częściej podkreśla poeta to wzruszenie, albo daje mu ono pobudkę do przeprowadzenia analogji bądź z przeżyciami własnemi, bądź ze sprawami innej natury; tak np. we wspomnianym sonecie

---

[1]) Poza pierwocinami, o których pisałem w artykule pomieszczonym w „Wierchach" za r. 1934 p. t. „Z dziejów poezji tatrzańskiej: Prehistorja", następujące nazwiska przed Asnykiem można wymienić: Goszczyński (jakkolwiek nie całkiem słusznie, bo tylko plan poematu „Kościeliska" odnosi się do Tatr, ogłoszony zaś p. t. „Sobótka" jego fragment rozgrywa się w Gorcach), W. Pol („Pieśń o Ziemi naszej" i ostatnia część „Pieśni Janusza"), E. Wasilewski (raczej Beskidy), Anna Krakowianka (A. Libera), Antoni Czajkowski (o Morskiem Oku), Deotyma, Z. B. Stenczyński (największy tatrzański poemat opisowy), ks. Maniewski, Ernest Buława (Wład. hr. Tarnowski, długi szereg sonetów), Felicjan Faleński (zbiorek: „Odgłosy z gór", właściwie najznaczniejsze dzieło w tej dziedzinie przed Asnykiem, ale sztuczne, niestrawne i dziś zapomniane), K. Gliński, St. Grudziński.

[2]) Zaledwie dwa sonety („Echa górskie" i „Towarzyszowi podróży") mają charakter egotyczny, nie mają jednak naprawdę z Tatrami nic wspólnego.

„Mgły na szczytach“ nastręcza się analogja — bardzo daleka i nie wzruszeniowa, ale czysto intelektualna — do mgieł zalewających niziny ludzkości... Takie analogje występują z reguły jako *pointe* końcowa i robią do pewnego stopnia wrażenie morału w bajce. Gdy odnoszą się do stanów wewnętrznych poety, to występują najczęściej w formie krypto-egotycznej: zamiast „ja“, mówi się „młodzieniec“, „pierś młoda“ i t. p.; ma to posmak jakgdyby nieco staroświecki, liryzm traci intymność, a ma w sobie coś dydaktycznego. Tak np. silny w wyrazie wiersz p. t. „Wiatr halny“ ma takie zakończenie:

„Gdzie tchnął — śmierć tam zostawił, gdzie przeszedł — [zwaliska,
A huczał... jak ta burza bez świadków, nazwiska,
Burza, co na pierś młodą głaz zawodu ciska.”

Jest to bardzo banalne, co uwydatnia się najjaskrawiej przy porównaniu z wierszem Tetmajera na podobny temat, gdzie poeta wciela się niejako w wiatr, który staje się wyrazem jego duszy, — niema tu żadnej przez intelekt stworzonej analogji, ale jest wczucie się, jakby utożsamienie ze zjawiskiem przyrody. — W wierszu p. t. „Dunajec“, do rzeki, która jak myśl młoda pędzi w niebacznym zapale z szumem przed siebie, zwraca się poeta z przestrogą, że tam na nizinach, w bagnach utonie i nie wróci — i wyprowadza analogję z młodą myślą, która z drogi gwiaździstej wybiega na świat realny: wróci, lecz „ach!... bez piór... cicha... i bramą zawodu“... Wiersz jest piękny, analogja jednak chroma. Świerk, w wierszu pod tym tytułem, chce zdobyć martwe góry i pokryć je zielenią życia, — pada pod przemocą wiatrów i lawin... Świerk ma lat dwadzieścia pięć... Dlaczego? Bo poeta pisząc to miał lat tyleż. Kryptoegotyzm z tendencją jakoby społeczną, analogja naciągnięta. Myśl jawnie egotyczna — zawsze tak samo zawarta w końcowej *pointe*'cie, występuje tylko wyjątkowo; tak jest w sonecie „Siklawa“, gdzie po bardzo pięknym opisie wodospadu, w którym Nowicki konkuruje z Asnykiem, następuje takie zakończenie:

„Tęsknoto! ty żrąc ogniem kradzionym u słońca
Wiecznie strącasz łzy moje w jedną głąb bez końca
Gdzie na nutę odwieczną serce płacze żale...“

Nieudana w formie i treści analogja — bo szumiąca z hukiem gromów siklawa nie ma żadnego podobieństwa ze strumieniem łez — psuje ten piękny utwór.

Co do charakteru opisowej części liryki Nowickiego, to w zestawieniu z Asnykiem, a także z Tetmajerem i Kasprowiczem, uderza częste posługiwanie się metaforą i porównaniem. Kocioł skalny Zmarzłego Stawu pod Zawratem nazwany jest zamrożonem piekłem... „Pierzchły zeń szatany — I zamarzły skał rzędem dokoła gardzieli”. Cały ten piękny sonet nastrojony jest na ton dantejskiego piekła. — Porównania Nowickiego bywają często bardzo trafne i suggestywne; tak np. porównanie spadu Siklawy do biało-grzywego konia stającego dęba i rzucającego się łbem nadół w przepaść; oddaje to wybornie swoisty „gest” tego wodospadu, spiętrzającego się przed spadkiem w górę na buli środkowej. Niekiedy jednak porównania nachodzą na siebie i sprzeczają się z sobą; tak w sonecie „Rysy” góry przedstawione są (nieco na bakier z geologją) jako zakrzepłe wybuchy wulkaniczne, te zaś znowu porównane do spiętrzonych fal oceanu, a później do stada owiec o białem runie, wreszcie do skamieniałych wielkoludów.

Obrazy wielkości i grozy najlepiej udają się Nowickiemu. Oprócz wymienionych już utworów, wspomnę jeszcze „Zmarzły Staw pod Garłuchem”, utwór nieco podobny do „Zmarzłego Stawu pod Zawratem”, w którym jednak motyw grozy przedstawiony jest odmiennie, a nader suggestywnie. Sonet maluje ogrom i straszliwość skał otaczających ponury lej ze stawem zamarzniętym na spodzie, a kończy się takim dreszczem:

„Na staw schodzę; lód jego trwożne czoło studzi,
Cisza śmierci — Nirwana... jakiś szmer ją budzi!?...
To kroki mojej myśli... ucieka do ludzi...“

Majestatyczną wielkością odznacza się sonet wstępny p. t. „Tatry”. Przytaczam go w całości, sądzę bowiem, że jemu to może zawdzięcza Nowicki w dużej mierze zdobycie u współczesnych tak entuzjastycznej opinji o całym tatrzańskim cyklu:

„W dali!... jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszakach, z proporcem obłoków,
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków:
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry!... czemuż jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze — swobody ołtarze!“

Zauważyć można, że odnajdujemy tu te same motywy, co u Pola: „Jak potopu świata fale — Zamrożone w swoim biegu — Stoją białe Tatry w śniegu — By granicy słup zuchwale“ (u Nowickiego „huf kresowy“); — i drugi motyw o swobodzie: „W góry, w góry, miły bracie, tam swoboda częka na cię“ (u Nowickiego: „swobody ołtarze“); motywy te same, ale oba podniesione do diapazonu wzniosłości.

Widoki szczytowe — rzecz napozór dziwna — są stosunkowo rzadkie w poezji tatrzańskiej. Może tłumaczy się to nieokreślonością wrażenia, na które składają się w głównej mierze elementy niematerjalne: przestrzeń, cisza i światło, „święta Trójca“ wedle wyrażenia Tetmajera. Staszic dał trafny wyraz nieokreśloności tego wrażeniu „trudnego do pojęcia, trudniejszego jeszcze do opisu... Jest to nagłe jakieś, dziwne zachwycenie... pełno poruszeń, pełno wewnątrz czucia, ale przytem żadnych wyobrażeń...“ I ten to brak wyobrażeń, jakby zgaszenie intelektu przez wybuch wzruszeń podświadomych, jest powodem tego milczenia poetów. Wrażenie, które tak trafnie uchwycił Staszic, powtarza się w różnych warjantach; Faleński na Zawracie doznaje poczucia obcości, nie znajduje odpowiedzi na rzucone w przestrzeń pytania; — Nowicki („Zawrat“) nie czuje się tu obco, a jednak tak samo wyraża niemoc zdania sobie

sprawy z istoty wrażeń; myśl staje wobec jakiejś wielkiej, niepojętej zagadki:

„Siadłem: cisza na górach — oko stawów drzymie,
Patrzę w Tatry, w te runy przedwiecznej zagadki,
Chciałbym przejrzeć, przeniknąć jej myśli olbrzymie."

Wrażenie tego rodzaju możnaby oddać raczej muzycznie:

„W górze pieśń... ale myślą stworzona nadziemną,
Pieśń runami granitów pisana przedemną!
Skamieniały sen Stwórcy..."

Całą poezję tatrzańską Nowickiego powleka jakby lekki opar melancholji. W nokturnie „Pod Krzyżem", opisując czar nocy księżycowej, skarży się, że dzień z szat marzeń rozbierając ziemię, wyłania na światło tylko czarne przepaście i zimne granity. W marzeniu tylko istnieje szczęście. Zdawałoby się, że takiemu zasadniczemu nastrojowi duszy odpowiadać będą najlepiej tony miękkie, łagodne. Tymczasem one właśnie mniej się udają Nowickiemu. „Sen" przynosi mu wizję Kościelisk, wizja ta jednak nie jest żywa, a wiersz Asnyka o Kościeliskach gasi ją zupełnie. Lepiej udał się obraz hali w wierszu „Na hali". Pięknem jest przeciwstawienie grozie skalnej pustyni łagodnego uśmiechu kwiecistej łąki. Ten motyw kontrastu podjął i silniej uwydatnił później Tetmajer. U Nowickiego zamącony jest przez wprowadzenie drugiego kontrastu: beztroskiej, nieświadomej pogody łąki z jednej, a bytowania ludzkiego z drugiej strony. Śpiewy juhasów w szałasie wydają się poecie „posępne", a potem:

„Cichną śpiewy i dumy, ludzie mrą i giną,
Ty halo wiecznie młoda żyjesz w łonie czasów,
Twój świerk wiecznie zielony — wody płyną... płyną..."

Sonety tatrzańskie Nowickiego mają wartość rzetelną i niewątpliwą, i miejsce ich jest w poezji tatrzańskiej trwale zapewnione, nie możemy już jednak podzielać sądów współczesnych, którzy radzi byli dać im pierwszeństwo przed Asnykiem. Czas odsłonił braki i wady, niepewne opanowanie instrumentu słowa (zawiłości stylowe, „rymy od biedy" i t. p.), pewną niedojrzałość, tak w wykonaniu, jak i w pomyśle. A przytem rozwój późniejszy naszej poezji, który odbył się pod hasłami Młodej Polski, poszedł drogami swoistemi, tak, że dzisiaj faktura Nowickiego przedstawia nam się często jako coś należącego już do przeszłości.

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

NORWIDJANA III

LISTÓW C. NORWIDA

GARŚĆ DRUGA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

(Ciąg dalszy)

14. [DO BR. ZALESKIEGO?]

Zamiast cieszyć się, że przecie jakie imię polskie przy wielkich tradycjach stoi, — to oni wszystko obrudzą i zaszkodzą. Nie strawili jeszcze, co pisałem! nawykli do czytań łatwych i pisań lekkomyślnych. Zamiast wyznawać prawdę społeczeństwu, zamiast stawiać prawdy, podsuwają je, i to spóźnione; powiedziałbym, zamiast wyznawać całą gębą, podszczuwają mimochodem i do reszty trują ospałe sumienie ogółu, które płacze nad zielonemi drzewami, zapominając, że to nad suchemi płakać trzeba, — bo co z niemi będzie? Podszczuwacze spóźnione bez wyznawstwa — niechże nie szkodzą chociaż ludziom.

N.

Elementarnych rzeczy nie wiedzą i nie umieją, a małpują wszystko. Jużci wszędzie na świecie ci co przynieśli i zaszczepili radykalnie sztukę, nie naśladowali i tulili się pod obcych, — wszędzie oni musieli być razem: rzeźbiarze, malarze, architekci, sztycharze... Inaczej być nie mogło i nie było. Jakże tak prostych danych historji i logiki nie znać i wszystko tylko powtarzać bez zgłębienia i truć, i truć, czytelników w ciągły błąd wprowadzając.

Nie wiedzą, co mają, nie wiedzą, jak gadać w rzeczach sztuki, nie znają warunków tworzenia jak ekonomy z parobkami, tak z każdą pracą, bo są próżniaki, to jest są nieorginalni „tylko albowiem oryginalność jest pracą".

Nie umieją i kupować, bo nie znają prawd. Na dziele sztuki, mądrze nabytem, nikt nigdy nie stracił, bo artysta rośnie i ono dwa razy tyleż wartś, bo artysta umiera i dzieło warte dziesięć razy tyle. Zamiast prawdy te badać i znać, — umieją beczeć i szkodzić...

C. N.

Uwaga wydawcy: Autograf listu w Bibl. Jag. w dziale „Autografy". List bez daty i adresu. Tutaj podano adresata tylko z domysłu. W liście odzywa się może echo tego rozgoryczenia, jakie ogarnęło Norwida w r. 1868 gdy zestawiał opinję pisma francuskiego z dokuczliwościami rodaków.

15. DO SEWERYNA GAŁĘZOWSKIEGO

25 listop. 1875.

Zacny Panie Sewerynie

Jakieś około sta winien Ci jestem i wszelako myśliłem w czasach tych (przed 29 List. bieżącego) u Ciebie być i może na Twym oprzeć się kredycie. Mam albowiem ciężary te i owe, czas, zabiegi i wstręty nakazujące mnie, jak to mówią: człowiekowi bez niczego.

Gdybym przeto krok ten zrobił, racz ze zwykłą poufnością przyjąć, skoro Ci kartę służący odda i chciej łaskawie widzieć sługę Twego. Myślę wszelako, iż mimo tej przezorności potrafię to, co na mnie spada, dopełnić.

Rzekłeś mnie był, skoro ostatni raz u Ciebie byłem, iż należy, aby obywatele publiczną się zajmowali rzeczą, skoro swoje osobiste musieli prowadzić interesa.

Tak-ci wydaje się!! lubo nigdy tego historja tak nie okazuje i nie okazała. Ileż długów miał Caezar? A czy też wiele polaków wie, że ś. p. Jan III, kiedy siadał na konia, pod Chocim jadąc, był pod skazaniem na banicję za długi i tylko Jabłonowski et Comp. załagodzili tę sprawę. Arcydługo jeszcze tak będzie. albowie daleko jeszcze do synthezy między historją rzeczy świata i biografją człowieka.

Z poważaniem i serdecz.

Cyprjan Norwid

P. S. Ponieważ sukcesja mojej matki (wnuczki miecznikowej Hilarji Janiny z Bujnów Sobieskiej) składała się była z dziewiętnastu miast i dwudziestu kilku wsi, przeto (choćby po matce) skoro odbierze się, coby się należało, zajmę się swobodniej całością obowiązków i powinności. Tymczasem więcej odemnie mogą XX Radziwiłłowie i uprzejma Księżna Marcelina, to jest ci, którzy sukcesję matki mojej w Massie Radziwiłłowskiej zatopili.

C. N.

Uwaga wydawcy: Autograf listu w zbiorach Bibljoteki Narodowej, arch. rapp., rkp. nr. 450. Podana w liściе wiadomość o „sukcesji" matki poety jest fantastyczna. Małż. Hilarji z Bujnów, Józef Sobieski, pradziad poety po matce, był pułkownikiem „wojsk" radziwiłłowskich i komendantem garnizonu nieświeskiego. Majątek jego, Strachówka, nie był duży (zob. „Kur. Warsz." 1934, nr. 255 w art. A. Czartkowskiego „C. Norwid a Sobiescy").

KRZAK ŁĄKOWY

Zielony świat — raz jeszcze.

Wikliny srebrny kierz
Rośnie, od dziecinnego wzrostu.
Gałąź listkami wszerz,
Nabrzmiewa i szeleści,
Ciepła, jak krew poprostu.

Szumiąca wić, wzburzona wiatrem długiego dnia,
Twardnieje w ścięgna, gibka, sucha;
Kłoni się w pas, wybucha!
Płodnością pnia —
Gdy w blekot blado-żółty, w fjolety mokrych żył,
Na ostromlecze padłszy, nurzając biodra w perz —
Błyskliwe, giętkie, smukłe rączęta swoje mył:
Wikliny srebrny kierz.

W liściach urodna twarz, wilgotna, świeża;
Bez ciemnej łzy na gładkiej wierzchni,
Choć ciepły deszcz, wciąż niżej, paciorkiem barwnym zmierza
Paluszki nożyn tknie, a słońce ich nie spierzchni.

Dziewczyna — w to jej graj — będzie gałązką dźwięczeć;
Wznosi się, roi krzew pomnożonego życia.
(Blekotu czar, duszący, płynie trucizną męczyć;
W pianach ostromlecz — jad wychwaszcza się z ukrycia).

Nad rozpojonych łąk niziną nieprzytomną,
Wiklinne dziewczę, drżąc, odczynia urok wklęty;
Wiewem gałązek — mgnień wstrzymuje falę gromną.
Równiny smutek drze, zgarnia blekotu męty.

I gdy powietrze jest wywarem dziedziwili,
Tymianku żywym tchem, w potoku miodu mleka,
Ona — w listeczków gąszcz chowa się, kłoni, kwili;
W granice ziemi, tam... w bezruchu patrząc, czeka.

Blednie wikliny twarz, piegami ciemne ręce,
Gdy parobczański but kurz miecie z piachów kłaka.
Kozikiem cięli wić — z rączyny jej... panience,
I gwiżdżąc, do czworaków uciekli na bosaka.

Podnosi się; brud strząsa — dziewczątko jasne, łączne.
Nerw, promieniami strun, szumy w szept jeden zwęża,
W dojrzewającą myśl, w sny pączne nieodłączne
Od życia, kiedy czeka na dziewosłęby — męża.

Zielenią skrawą aż!... poraża — łęg z przed Narwi;
Gdy zbiera się na płacz, i kochać tylko może
Tego — swojackiej krwi, co łąką też się barwi,
Mając, jak srebrny krzew, z łąk zielnych rodne łoże.

Pod gładką korą krew, niedopełniona w płody;
Bo nie wie kiedy już? wyrośnie, cała w kwiecie.
Rozbłysk splecionych rąk, giętki, wyniosły, młody,
W powstałej z Bożych łun, z wiklinnych drgnień kobiecie.

Pamięta już i te — wszystkie — co wzejdą dnie,
Przedziwne;
Gdy do niej przyjdzie znów, krzew pozna jasnolicy,
i z łodyg delikatnych odgarnie liście niwne —
Mój krewny zakochany: pan Lipka z Łubienicy.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Brzozy najbielsze — wzwyż! pachnące lipy — górą!
Na krańcach wielkich łąk, gdy z mleczno-miodnych leż,
Spływa w lipczany gąszcz, pod znikającą chmurą —
Wikliny srebrny kierz.

MIŁOSZ GEMBARZEWSKI

NA WIDOWNI

Nadzwyczajna Komisja turystyczna we Lwowie. — Cmentarz obrońców Lwowa i spadek po nich. — Jak to było we Lwowie przed wojną i podczas okupacji. — Plany sąsiadów na Małopolskę wschodnią. — Jakie są nasze plany? — Sanacyjne bezdroże.

RZĄDOWA agencja telegraficzna donosi, że Komisja międzyministerjalna przybyła w Zaduszki do Lwowa, aby zbadać w „terenie" potrzeby i bolączki trzech województw południowo-wschodnich. Komisja konferowała z przedstawicielami urzędów wojewódzkich, „zetknęła się ze sferami robotniczemi" i t. p., nazajutrz „udała się w okolice Lwowa, zapoznając się na terenie gmin polskich i ukraińskich z zagadnieniami wsi", wieczorem udała się na cmentarz obrońców Lwowa, poczem odjechała do Krakowa... Prędko!

Wyobrażam sobie, jak obfity plon wiadomości o tak mało znanym kraju Komisja przywiezie do Warszawy. Trzy wielkie aparaty administracyjne wojewódzkie sporo pewno wiedzą, ale są zbyt wielkie, by mogły zajmować się szczegółami „na terenie". Sejm i Senat milczą, trzeba więc posyłać ekspedycje z centrali. Jabym jednak zrobił to taniej i skuteczniej, poprosiłbym b. senatora Głąbińskiego do Warszawy, onby o wszystkiem dokładnie poinformował. Rozumiem wszelako, że dzisiaj byłoby to niemożliwe, Głąbiński bowiem jest polskim patrjotą.

Jeżeli w tej Komisji byli Polacy z sercem, to napewno o stanie rzeczy w tej dzielnicy Państwa Polskiego nauczyli się najwięcej na cmentarzu obrońców Lwowa, na tem cudownem *Campo Santo* bohaterstwa polskiego. Ci przecież, co legli w obronie Lwowa, byli obrońcami Państwa Polskiego.

Te trzy województwa południowo-wschodnie z jednej strony i Pomorze polskie z drugiej — to dwa skrzydła naszego Państwa. Bez ich swobodnego rozpostarcia nie utrzymamy się w biegu dziejowym. O tem przedewszystkiem wiedzieć się powinno w Warszawie. Obywatele polscy tych krain wysyłali do Warszawy niejedną komisję w postaci swych posłów do parlamentu, niejedno zapytanie słali przez prasę swoją, aby się dowiedzieć, dlaczego właśnie im jest tak ciężko.

O cóż bowiem chodzi? O to, by żywioł polski, który jest mięśniem każdego z tych skrzydeł i unerwieniem, nie był w swym rozwoju hamowany, tembardziej — tępiony. A tak się właśnie składa, że tu i tam polityka „sanacyjna" (co za perwersja w nazwach!) toczy najzawziętszą walkę z obozem narodowym, właśnie z tym „obrońcą". Na głosy pytające, zdziwione, przerażone, niema żadnej odpowiedzi. Nikt nie może zrozumieć celowości tego biegu rzeczy. Natomiast wiadomo jest bez pomocy komisyj, że w Małopolsce wschodniej żywioł polski osłabł, zamiast się wzmocnić. Ze Lwowa wracają Polacy ze ściśniętem od bólu sercem. W tem znakomitem doniedawna ognisku życia polskiego zaledwie pełgają ogniki. Z polskiej Rusi Czerwonej zrobiliśmy dobrowolnie jakąś Ukrainę. We Lwowie panują żydzi. Opinja polska zdezorganizowana. Czy Komisja o tem zameldujе?

— — — — — — — — — — — — — —

Małopolską wschodnią bardzo starannie zajmowały się od początku tego stulecia sfery polityczne niemieckie. Zainteresowanie to nie osłabło dotąd. W dekonspirowaniu planów niemieckich wielką rolę odegrała prasa polska. „Słowo Polskie" zwłaszcza stanęło mężnie w obronie Lwowa, wydobywając tajne dokumenty z *Ostmarkenverein*, które dowiodły, że ruch ukraiński dokonywa się według planu i za pieniądze Niemiec. Namiestnictwo we Lwowie było tyle patrjotyczne, że o żadnych represjach na pismo nie było mowy. Nawet po wybuchu wojny „Słowo Polskie", choć jawnie antygermańskie, nie doznało żadnej krzywdy. Zaborcy liczyli się z prasą, rozumieli potrzebę informowania się, jakie prądy nurtują w opinji krajów. A po wybuchu wojny działy się we Lwowie straszne rzeczy. Żydzi i Ukraińcy stanęli do współpracy z rządem austrjackim, ulicami Lwowa codzień, pod osłoną żandarmów, ciągnęły do obozu koncentracyjnego korowody ludności, pomówionej przez tych patrjotów austrjackich o sprzyjanie wrogowi. Żydzi rzucali się z kijami i nożami na jeńców, aby okazać żarliwość patrjotyczną; kobiety żydowskie łamały na ich głowach parasolki. Rozstrzeliwano starorusinów tysiącami. Niech żyje Ukraina! — wołano. Żydzi, socjaliści, „niepodległościowcy" również pod tą komendę grozili śmiercią Polakom, którzy nie wierzyli w politykę państw centralnych. „Słowo Polskie" trwało. Władze rozumiały, że stoi za niem Polska, która nie kończy się w Galicji.

Po ustąpieniu wojsk austrjackich nastąpiła okupacja rosyjska, a z nią niewysłowiona męka dla duszy polskiej. Tym barbarzyńcom wydawało się, że przyszli oni na podbój wszystkich krajów słowiańskich na zachodzie, a co do Rusi Czerwonej, tę jako ruską, uważali za swoją ziemię, nie okupowaną, ale odzyskaną. Polacy znowu mieli się tu czuć jako intruzi. Ukraińcy znikli, jak kamfora; z najczulszą słuchawką niktby we Lwowie mowy rusińskiej nie usłyszał; żydzi wyszli na spotkanie nowego zaborcy z pokłonem.

Mianowany wojennym generał-gubernatorem Galicji Wschodniej hr. Bobrinskij zaczął swoje rządy (23.IX) od zapowiedzi:

„Galicja Wschodnia — mówił na ratuszu — i Łemkowszczyzna jest odwieczną częścią jednej Wielkiej Rusi. Na ziemiach tych ludność rdzenna była zawsze rosyjska... Będę tu wprowadzał rosyjski język, rosyjskie prawo i ustrój"... A w depeszy do swego cesarza złożył w imieniu Rusi Czerwonej podziękę za to, że „oswobodził ją od wielowiekowej niewoli i połączył ją z matką jej, Rosją"[1]).

— — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz po tej mowie przyszedł do mnie, jako do redaktora „Słowa Polskiego", kapitan Narkiewicz, oficer do szczególnych poleceń przy generał-gubernatorze, oświadczając, że przybywa z polecenia hr. Bobrinskiego w misji następującej: „Słowo Polskie", jako najpoczytniejszy organ w Galicji Wschodniej wydrukować musi mowę i odpowiednie rozporządzenia generał-gubernatora w całości, przyczem hrabia (graf) życzy tego sobie i na to nalega, aby wszystko wydrukowane było po rosyjsku, czcionkami rosyjskiemi. Nie

[1]) Ob. M. Seyda „Polska na przełomie dziejów", I, 128.

dając mi dojść do słowa, kapitan dodał pośpiesznie, że stronę techniczną on sam bierze na siebie; pewno czcionek odpowiednich nie mamy, on więc dostarczy z drukarni wojskowej gotowy skład — tylko wstawić do numeru.

Zapisałem sobie dokładnie tę rozmowę. Narkiewicz—pewno pochodzenia polskiego — przeznaczony był do propagandy. Zakładał we Lwowie dziennik rosyjski „*Lwowskoje Wojennoje Słowo*", on też był szefem cenzury wojennej (lokal w dawnym banku Austro-Węgierskim). Poznałem go już w cenzurze, gdzie byłem wzywany. Młody, elegancki, w rękawiczkach, wielce pewny swego rozumu i stanowiska, powoływał się na bliższe stosunki jakie go łączą z wodzem głównym, gen. Iwanowem.

Zrozumiałem, że kwestja stawiana jest na ostrzu noża i powziąłem decyzję. Gdy Narkiewicz wreszcie zamilkł, odpowiedziałem spokojnie, że kwestje techniczne, o których tyle mówi, są drobnostką. Istnieją przeszkody ważniejsze, zasadnicze. „Słowo Polskie" nie może tego zrobić ze względów zasadniczych.

Narkiewicz żywo się poruszył.

— Jak pan sobie wyobraża taką możliwość. Tego rząd rosyjski nie mógł domagać się od pism polskich w krajach zabranych. Z jakiej racji dziennik prywatny w kraju okupowanym ma brać na siebie rolę półurzędową?

Narkiewicz argumentował bezładnie, powołując się na prawo wojny, ale najsilniejszy nacisk kładł na prawo uprzejmości:

— Generał-gubernator żąda tylko aktu uprzejmości. Nie wypada mu tego odmawiać.

— Proszę pana, gdyby w tych stosunkach mogło mieć zastosowanie prawo uprzejmości, to nie wątpię, że pan generał-gubernator postarałby się, aby jego mowa do przedstawicieli społeczeństwa polskiego wygłoszona była po polsku. Nie będziemy o uprzejmości mówić, to są sprawy polityczne. Nie myślę przez uprzejmość uszczuplać praw polskich.

Wtedy Narkiewicz wybuchnął i zaczął prawić o obowiązkach Polaków w tej wojnie. Przerwałem mu.

— Niech się pan z tem liczy, że występujemy po stronie koalicji nie jako poddani Rosji, lecz jako sojusznicy.

— Ot, co jest! Z Polakami tak zawsze. Wyby̌ście chcieli, aby wam sprawę polską podano gotową na półmisku. Wam Wielki Książę daje Polskę, a wy prostej grzeczności zrobić nie chcecie.

I żeby sposobem szantażu utrafić w miejsca politycznie najdrażliwsze, dodał:

— A wy jeszcze legjony na Rosję posyłacie!

Wtedy i ja głos podniosłem, zrobił się hałas. Domownicy moi zbiegli się podedrzwi.

— Pan występuje jako polityk, niech pan zrozumie, że pan rozmawia z przedstawicielem społeczeństwa polskiego. Nie wolno panu rzucać insynuacyj. Polacy nie mają powodu ruchów swych taić, niczego się nie wypierają. Czy Rosja do ostatniej chwili przed wojną wypowiedziała się w sprawie polskiej? Pan mówi o lojalności, Polacy w Galicji winni byli lojalność wobec Austrji. Politycy polscy, przystępując do koalicji, byli bardziej przewidujący i szybciej się orjentowali, niż Rosja, kierująca się w sprawie polskiej według orjentacji niemieckiej. Przecież odezwa Wielkiego księcia dla pana samego była niespodzianką (tu kapitan mi przerwał, przytakując), skądże my tutaj mogliśmy to przewidzieć, od 1 sierpnia zupełnie od świata waszego odcięci? O tej odezwie Lwów dowiedział się dopiero na parę dni przed wkroczeniem wojsk rosyjskich. To jest dziwne, że i taki nastrój, jak jest, tutaj zastaliście.

Kapitan Narkiewicz zaczął nakładać rękawiczkę.

— Więc co mam powiedzieć ostatecznie?

— Że tego żądania spełnić nie mogę. A gdyby generał-gubernator na nie nastawał, to pismo zamknę.

Chłodno się pożegnał i wyszedł. Potem nigdy już tej próby nie wznawiano.

Bodaj cięższe były potem chwile, gdy germanofile rosyjscy, których pełno kręciło się koło armji, zwąchali się z żydami galicyjskimi, szerząc okropną demoralizację wśród Rosjan. Sam Bobrinskij kurs swój znacznie zmodyfikował, gdy się okazało, że fantazje strategiczne nie dały się tak łatwo realizować.

— — — — — — — — — — — —

Przypomniały mi się te przygody z przed lat 20, gdym się zastanawiał nad tem, czy też owa podróżująca Komisja zanotowała sobie, że w Małopolsce Wschodniej bardzoby się przydało zorganizowanie opinji według wskazań polskiej polityki narodowej. Bo tak się stało, że „Słowo Polskie", które znakomicie w tym względzie spełniało zadanie, właśnie w wolnej już Polsce zostało zniszczone. Politycy sanacyjni postarali się o wykupienie udziałów tego wydawnictwa i nie licząc się z opinją sfer narodowych, zrobili z pisma swój organ bez określonego szczerze programu. Odepchnięte przez Polaków w krótkim czasie zostało zmarnowane i zamknięte. Przepadł wraz z dużym majątkiem (w postaci kamienicy, oficyn, maszyn) cały dorobek wpływów, jakiemi to pismo rozporządzało.

Obóz narodowy, systematycznie niszczony materjalnie, zdobył się z wielkim wysiłkiem na ufundowanie w wycieńczonym Lwowie nowej placówki — „Kurjera Lwowskiego". Udało się „sanacji" tak pokierować sprawą zaległości podatkowych (pretensje ubezpieczalni), że pismo otrzymało komisarza z obozu sanacyjnego, a ten używszy dziennik na cele swojej polityki, zniszczył go również. O wykupieniu wydawnictwa, które przecież podatków nie zapłaciło, a długi powiększyło, obecnie trudno już myśleć.

Trudno wymyśleć coś okrutniejszego: zabrać komuś pismo polityczne i podstępem wobec czytelników wprowadzić je na odmienne tory polityczne wbrew woli prawnych właścicieli!

Co to jest wolność polityczna? — pytał Monteskjusz. — Jest to spokój ducha, wynikający z przeświadczenia, że się jest bezpiecznym ze strony drugiego obywatela.

Brak tego bezpieczeństwa — oto bolączka, o której Komisja zameldować powinna p. ministrowi sprawiedliwości.

Tam, gdzie życie bujało, czyni się pustynia— polska pustynia; buja podobno gospodarka „ukraińska", no i żydowska. *Nec locus ubi Troia fuit.*

Czy jest jaka myśl polityczna w tem wszystkiem — nie wiadomo, niezbadane bowiem są drogi, któremi chadza legendarna myśl sanacyjna. A może jest to poprostu bezdroże. Boć trudno przypuścić coś gorszego.

A to skrzydło polskie, podskubywane dalej tak skutecznie, przestanie spełniać swe zadanie i może się obłamać. Bardzo uroczysty i wzruszający był teraz obchód Święta Zmarłych na cmentarzu Orląt, obrońców Lwowa. Ale czy ten cmentarz ma być ostatnią kartą dziejów patrjotyzmu polskiego w tym kraju? Komisja na to nie odpowie, zostawiając odpowiedź sumieniu ludzi odpowiedzialnych za stan rzeczy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

PS. Gdy artykuł powyższy był już złożony czcionkami, wyczytałem w „Warsz. Dzienniku Narodowym" (także gorliwie przez „sanację" tępionym) list ze Lwowa tej treści:

„W dniu wczorajszym (9 list.) zostało wszczęte w „zdobytym" „Kurjerze Lwowskim", postępowanie licytacyjne. Termin oszacowania nieruchomości został wyznaczony przez komornika rewiru I na dzień 7 grudnia b. r. Licytacja odbędzie się prawdopodobnie w lutym 1936 r.

W związku z tem dowiadujemy się, że do licytacii mają stanąć kapitały ukraińskie. Jak wiadomo, do posesji „Kurjera Lwowskiego", mieszczącej się przy ul. Mochnackiego 48 przylega posesja, na której stoi gmach ukraińskiego „Muzeum Narodowego", wzniesiony przez metr. Szeptyckiego. Poniżej mieści się ukraińska szkoła dla dziewcząt, a powyżej wymienionej ulicy ukraiński dom akademicki, znana placówka roboty wywrotowej. Cały zaś teren ul. Mochnackiego, którą systematycznie okupują Ukraińcy, przylega do wzgórza Cytadeli, na którem stacjonowany jest 19 pułk piechoty. Prócz tego Cytadelę zajmują ważne objekty wojskowe.

Ponieważ do zniszczenia narodowej placówki, jaką był „Kurjer Lwowski", przyczyniły się walnie dobrze znane czynniki polityczne, których parawanem jest lwowska Ubezpieczalnia, — nie należy wątpić, iż obecnie zainteresują się one wyżej podanemi faktami. Co na to naczelnik wydziału bezpieczeństwa p. Sambor? A może wyższe czynniki zechcą wejrzeć w tę skandaliczną z punktu widzenia prawa aferę?"

Owe „czynniki polityczne", do których autor listu apeluje, zajęte są czem innem: rozdają wawrzyny za szerzenie c z y t e l n i c t w a p o l s k i e g o.

GŁOSY

„KILKUNASTU AKADEMIKÓW" zaledwie raczyła dostrzec „Gazeta Polska" w sprawozdaniu swem z wspaniałej manifestacji młodzieży narodowej z okazji czwartej rocznicy tragicznej śmierci studenta Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, ś. p. Stanisława Wacławskiego († 10 listopada 1931 r.).

Obchód rocznicy ś. p. Wacławskiego ma już ustaloną tradycję w społeczeństwie polskiem, a zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej. W dniu tym milkną swary i różnice poglądów. Najdosłowniej cała polska młodzież akademicka we wszystkich środowiskach uniwersyteckich bierze żywiołowy udział w uczczeniu pamięci swego młodziutkiego kolegi, który pierwszy padł w walce z zalewem żydowskim. Tak też było w tym roku w Wilnie, Poznaniu, Lublinie, Krakowie, a przedewszystkiem w Warszawie, kiedy na mszy św., urządzonej staraniem Sekcji Akademickiej Stronnictwa Narodowego w kościele akademickim im. św. Anny zebrało się kilka tysięcy młodzieży akademickiej z pod różnych znaków programowych, natomiast zgodnej i jednolitej w poczuciu narodowem i postawie przeciwżydowskiej. Faktu tego nie da się ukryć, ani zagadać.

Przecież w zainteresowanej, a bratniej organowi p. Fl. Sokołowa prasie żydowskiej, jak w „Naszym Przeglądzie" i „5 rano", podano liczbę uczestników na kilka tysięcy.

Zabawną metodę stosuje urzędówka sanacyjna wobec potężnych zjawisk życiowych. Jeśli było tylko „kilkunastu akademików", to poco — w dbałości o utrzymanie porządku — uruchomiono bataljony granatowych mundurów?...

Przypomina się mimowoli bajka Kryłowa o wizycie w gabinecie zoologicznym. Sanacyjna urzędówka dostrzeże najmniejszą muszkę, efemerydę „młodo-legjonową", „demokratyczną", „mocarstwową", natomiast „słonia nie zauważy"... „Słoniowi" to nie zaszkodzi.

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKI I LITERATURY

Nagrodę tegoroczną m. Warszawy (po 10.000 zł.) otrzymali: naukową prof. Jan Łukasiewicz (logika), literacką Pola Gojawiczyńska (powieść), Karol Szymanowski (kompozytor), Alfons Karny (rzeźbiarz).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W zeszycie niniejszym kończymy wspaniałe studjum J. G. P a w l i k o w s k i e g o, członka Akademji Umiejętności w Krakowie.

Świat literacki z niesłabnącem zainteresowaniem śledzi korespondencję C. N o r w i d a, której wielki zbiór „Myśl Narodowa" zawdzięcza znakomitemu badaczowi romantyzmu, prof. St. P i g o n i o w i. Po ukończeniu trzeciej serji tego nieocenionej wartości skarbu literackiego nastąpi przerwa. Prof. Pigoń ma przygotowaną część czwartą, niezmiernie interesującą. „Myśl Narodowa" skrzętnie jest kolekcjonowana przez polonistów i wszystkich miłośników dziejów literatury.

T E A T R

„UCIEKŁA MI PRZEPIÓRECZKA" W TEATRZE NARODOWYM

NARESZCIE doczekaliśmy się dobrego, bardzo dobrego spektaklu teatralnego.

Pragnąc solennie uczcić przypadający w miesiącu listopadzie bieżącego roku dziesiątą już z kolei bolesną dla całego narodu rocznicę zgonu wielkiego twórcy „Popiołów", Teatr Narodowy — podkreślmy to na wstępie naszego sprawozdania — godnie spełnił obowiązek pierwszej sceny polskiej, wystawiwszy — z udziałem zaproszonego na gościnne występy Juljusza Osterwy, chronologicznie ostatni a pod bardzo wielu względami niewątpliwie najlepszy ze wszystkich utworów dramatycznych Stefana Żeromskiego — mianowicie uroczą i pomimo różnych wad — głęboko wzruszającą komedję pod tytułem „Uciekła mi przepióreczka...", komedję liczącą sobie również lat już dziesięć. (Mój Boże, jak ten czas leci!)

Czy pamiętacie dokładnie treść owej „Przepióreczki"? Obawiam się, że większość moich czytelników oglądała ów utwór na scenie, lub odczytywała w wydaniu książkowem przed dziesięciu już, bądź co bądź, laty. Przypuszczam, że wskutek tego wiele osób pamięta go zaledwie piąte przez dziesiąte. Z tego powodu wydaje mi się rzeczą wskazaną na wszelki wypadek treść „Przepióreczki" pokrótce tu przypomnieć.

A więc młody, przystojny, mądry, szlachetny ideowiec, młodszy brat i uczeń Judymów i Czarowiców, docent fizyki na którymś z polskich Uniwersytetów (prawdopodobnie na Uniwersytecie Warszawskim) nazwiskiem Przełęcki, zorganizował w jednym z licznych majątków arcybogatej magnatki, potomkini starożytnego arystokratycznego rodu, księżniczki

Sieniawianki ogólno-dokształcające kursy wakacyjne dla okolicznego nauczycielstwa ludowego. Wykładowcami na owych wakacyjnych kursach są uczeni przyjaciele i koledzy Przełęckiego, profesorowie oraz docenci tejże, co i on, wszechnicy, tacy sami, jak i on, zapaleni entuzjaści pracy społecznej, fanatycy krzewienia oświaty i podularyzowania wiedzy. Otóż z inicjatywy docenta Przełęckiego panowie owi postanawiają przeistoczyć skromną początkowo instytucję kursów wakacyjnych w doniosłą placówkę kulturalną, zakrojoną na na daleko większą skalę. W sąsiednim majątku, należącym również do księżniczki Sieniawianki (wolno nam się domyślać, iż akcja sztuki toczy się gdzieś w Kielecczyźnie, w pobliżu gór Świętokrzyskich, puszczy jodłowej, Łysicy) wznoszą się nadgryzione zajadłym zębem czasu (jakby powiedział Kadłubek), mury zrujnowanego zamczyska średniowiecznego, które niegdyś w zamierzchłej przeszłości należało podobno do sławnego „biskupa i wisusa" Pawła z Przemankowa. Owe zrujnowane zamczysko nazywa się: Porębiany. Docent Przełęcki postanawia „naciągnąć" zacną księżniczkę Sieniawiankę nietylko na ofiarowanie owych sypiących się w gruz murów z przyległościami — instytucji kursów wakacyjnych, ale w dodatku na kompletne odbudowanie zamku od piwnic po dach i przywrócenie go do stanu mieszkalności. Wspaniałomyślna księżniczka, podstarzała pannica podkochująca się skrycie w głębi dziewiczego serca w przystojnym a nawet pięknym jak sam Juljusz Osterwa docencie, dała mu się na to namówić. Ku zgorszeniu starego, praktycznego i oszczędnego administratora dóbr książęcych, pana Bęczkowskiego inicjator wakacyjnych kursów dla nauczycielstwa ludowego otrzymał ruinę porębiańską na własność, razem z uroczystą obietnicą funduszów na odbudowę. Dzięki książęcej hojności oraz dzięki ofiarności naukowców zrzeszonych przez Przełęckiego, ma powstać w niedługim czasie w zamczysku porębiańskiem coś w rodzaju wielkiej stacji doświadczalno-naukowej, wyposażonej w laboratorja i obserwatorja, połączonej z bibljoteką i regjonalnem muzeum przyrodniczo-historyczno-etnograficznem. Docent fizyki Przełęcki obiecuje, że będzie sygnalizował ludności okolicznej z wieżycy zamkowej zbliżanie się chmur gradowych, zagrażających żniwom. Będzie to uskuteczniał przy pomocy potężnego czerwonego reflektora z umieszczoną wewnątrz czarną kulą, widzialnego w promieniu kilku czy też kilkunastu mil dookoła. Pomysł docenta Przełęckiego wzbudza wśród grona przyjaciół powszechny entuzjazm. Księżniczka Sieniawianka, profesorowie uniwersytetu, nauczycielstwo miejscowe — wszyscy palą się gorączkowo do jaknajrychlejszego urzeczywistnienia tego projektu. Nagle bohater sztuki spostrzega, że najlepsza z jego uczennic, nauczycielka ludowa i żona ludowego nauczyciela, pani Dorota Smugoniowa jest w nim, w Przełęckim, zakochana. Osóbka owa podoba się docentowi nawzajem bardzo. Przełęcki żywi dla niej tajony od zeszłorocznych wakacyj na samem dnie serca, niewyznany sentyment.

Ale właśnie dlatego, że ją szczerze kocha i szanuje, nie chce jej pokalać cudzołożnym romansem. Nie jest w stanie popełnić podłości—skrzywdzić poczciwego męża pani Dorotki, człowieka skromnego i bezbronnego, który patrzy na docenta jak na półboga. Przełęcki uważa przytem, że romans ze Smugoniową splugawiłby moralnie ukochane jego dzieło — dzieło odbudowy Porębian. Żeby tedy uleczyć panią Dorotkę z grzesznej, degradującej ją moralnie miłości, żeby ocalić szczęście domowe biednego Smugonia — pomysłowy docent znajduje następujące wyjście z zagmatwanej sytuacji: skompromituje się dobrowolnie w oczach ukochanej kobiety, odegrawszy przed nią rolę człowieka bezideowego, lekkomyślnego fircyka, którego sprawy społeczne w gruncie rzeczy nic a nic nie obchodzą, blagiera, chłystka, hulaki, cynika, dla którego niema nic świętego. Komedję ową odgrywa najprzód wobec Smugoniowej, następnie zaś wobec wszystkich osób występujących w sztuce. Naiwna Dorotka dała się na tę grę nabrać. Dali się również na nią nabrać wszyscy koledzy docenta i księżniczka Sieniawianka. Skompromitowany w oczach wszystkich swoich współpracowników Przełęcki porzuca kursa wakacyjne i wraca do stolicy. Ale zanim się dobrowolnie ostatecznie zdegradował, potrafił całe towarzystwo natchnąć takim entuzjazmem dla sprawy odbudowania Porębian, że po jego wyjeździe zabiorą się do roboty ze zdwojoną energją i doprowadzą dzieło do końca.

Gdy się zastanowimy głębiej nad treścią tej sztuki samoponiżenie się Przełęckiego (motyw egzotyczny, przeszczepiony z literatury rosyjskiej), wydaje nam się pomysłem niezbyt szczęśliwym, a nawet wręcz chybionym. Trudno, bardzo trudno nam uwierzyć, że zakochana po uszy pani Dorotka Smugoniowa odkochała się tak nagle po jednej rozmowie, w której ukochany naopowiadał jej o sobie trochę niewiarogodnych, wyssanych na poczekaniu z palca dyrdymałek. Że uwierzyła w te brednie i że nawet uwierzywszy w nie, przestała go z tego powodu odrazu kochać. Jeszcze trudniej nam uwierzyć, że w rzekomą nicość moralną Przełęckiego uwierzyli również wszyscy jego koledzy, którzy przecież znali go wybornie od długich lat. Ale te i tym podobne wątpliwości (możnaby ich wyliczyć kilkadziesiąt) ogarniają nas dopiero po zapadnięciu ostatecznem kurtyny.

Dopóki przedstawienie trwa, nie żywimy ich zgoła. Nie mamy czasu zajmować się rozstrzyganiem takich problematów. Nie zdajemy sobie sprawy z wad utworu, ponieważ jesteśmy całkowicie urzeczeni magją przepajającej go poezji. Wątpliwą dramatyczność komedji wynagradza nam tysiąckrotnie cudowna jej liryczność: wspaniałe wyrażenie uczuć autora względem ziemi rodzinnej i narodu. Uczucia te w „Przepióreczce" wyrażone zostały prześliczną prozą, bardzo prostą, nie przeładowaną bynajmniej metaforami, a jednak nader obrazową, przepięknie brzmiącą. Frazesów Przełęckiego słuchamy z rozkoszą tem większą, że wygłasza je Juljusz Osterwa, na którym rola Przełęckiego leży jak ulana, ponieważ Żeromski właśnie dla niego ją pisał.

Dziesięć lat temu, na prapremjerze „Przepióreczki", Przełęcki leczył z miłosnego opętania zadurzoną w nim nauczycielkę nieco odmienną metodą, niż to czyni obecnie.

Mianowicie: w akcie drugim, w scenie nakładania rąk na jej głowę, ograniczał się do hieratyczno-magicznego gestu, a formułę odczynienia uroku wygłaszał z namaszczeniem pobożnem, tonem kapłana — cudotwórcy.

Dzisiaj przytula miłośnie głowę Doroty do swego policzka, palcami jego wstrząsają drgawki pożądliwości, głos zaś nabrzmiewa ciepłą z trudem przezwyciężaną, zaprawioną erotyzmem tkliwością.

Przed dziesięciu laty przez cały przeciąg przedstawienia był nadludzko niezłomny.

Obecnie jest bardziej ludzki — na króciutkę chwilę się rozhartowuje.

Obydwie interpretacje są doskonałe. Kto wie nawet, czy druga nie jest lepsza od pierwszej. Zastanawia mnie jednak, co mianowicie skłoniło Osterwę do przeinaczenia stylu gry. Podobno rytualny gest interpretacji pierwszej budził na niektórych spektaklach, mniej nastrojowych i uroczystych, niż prapremjera — śmiech na galerji. Do zmiany stylu gry musiała się jednak przyczynić również zmiana aktorki grającej Smugoniową. Dawniejsza odtwórczyni tej roli, artystka zgoła nie rutynowana, obdarzona talentem z Bożej Łaski, niemal „amatorskim", pani Niedzielska, miała w sobie rozbrajającą naiwność, uczucie jej dla Przełęckiego było niemal panieńskie, prawie czyste. Dorotka w jej interpretacji robiła wrażenie arcypoczciwego prowincjonalnego gąsiątka i budziła raczej litość, niż zmysłową pokusę. Inną, ale to zupełnie inną, jest Dorota Smugoniowa w interpretacji pani Modzelewskiej. Nie sprawia wcale wrażenia istoty zahukanej, napół przytomnej z miłosnego opętania. Przeciwnie. Wygląda raczej na trzeźwą i pewną siebie kokietkę, lubiącą z mężczyznami flirtować ile tylko wlezie, bardzo

dbającą o efekt każdego swego ruchu, zwracającą baczną uwagę na swoje „niewyszukane" uczesanie i na nieposzlakowaną elegancję skromnej swojej sukienki. Zdaje mi się, że Smugoniowa Niedzielskiej bliższa była intencyj autorskich, niż Smugoniowa Modzelewskiej.

Trudną rolę Smugonia po Stefanie Jaraczu objął świetny aktor pan Dominiak. Cóż na to poradzę, że choć opracował rolę jaknajstaranniej i zagrał ją po swojemu znakomicie—wzruszył mnie bez porównania mniej, niż bardziej od niego nerwowy i bardziej wyintelektualizowany Jaracz. Dla chudszego znacznie Jaracza, zagrożonego zdradą Niedzielskiej, czuliśmy żywe współczucie i litowaliśmy się nad nim pospołu z Przełęckim. Dla zażywnego Dominiaka, barczystego jak dąb, zdrowego jak rydz, czerstwego jak ćwikła—dla Dominiaka, który wyglądał raczej na jakiegoś gorzelanego, ekonoma lub leśniczego, niż na nauczyciela ludowego—mieliśmy znacznie mniej współczucia. Nie zupełnie byliśmy pewni, a nawet powątpiewaliśmy, czy zdradzenie go przez fertyczną Dorotkę — Modzelewską, będzie dla niego klęską życiową.

Dziesięć lat temu rolę księżniczki grała Tekla Trapszo. Obecnie powierzono tę rolę pannie Gellównie, która wywiązałaby się z niej znakomicie, gdyby się była zdecydowała odrobinę więcej podstarzeć. Pomiędzy Przełęckim a księżniczką Sieniawianką powinna być bijąca w oczy dysproporcja wieku. Księżniczka powinna być znacznie starsza od docenta. Otóż dysproporcji tej między Osterwą a Gellówną nie mogliśmy się dopatrzeć.

Plenipotentem (po znakomitym Staszkowskim) był znakomity Justjan.

Frietsche, Grolicki, Tadeusz Chmielewski, Łapiński, Bogusiński, Chmurkowski i Pichelski zluzowali Chmielińskiego, Bednarczyka, Solskiego, Śliwickiego i Kotarbińskiego.

S. J. G.

„ZEGAREK" W WIELKIM TEATRZE WYOBRAŹNI

Nie należę bynajmniej do zapalonych zwolenników słuchowisk radjowych. Wyczytawszy jednak w gazetach, że w ubiegły czwartek warszawski Wielki Teatr Wyobraźni.... (Jak się okazuje „teatrów" wyobraźni istnieje w Polsce kilka, a każdy z nich nosi odmienną nazwę, i tak „teatr" warszawski nazywa się „Wielkim", „teatr" lwowski „Powszechnym" etc.), otóż dowiedziawszy się z gazet, że Wielki Teatr Wyobraźni wystawia trzyaktowy dramat Jerzego Szaniawskiego — nałożyłem, przez szacunek dla znakomitego pisarza, o wskazanej w programie godzinie słuchawki na uszy. Okazało się, iż rzekomy dramat p. t. „Zegarek", to miniaturowa błahostka, zasługujące conajwyżej na nazwę dramaciku. Treść jej stanowią przeżycia pewnego czeladnika zegarmistrzowskiego, który został niesłusznie posądzony przez swego pryncypała o kradzież kosztownego, wysadzonego drogiemi kamieniami, złotego zegarka i wskutek tego postradał posadę. Dowiedziawszy się po latach (w ciągu których zdążył wykształcić się zagranicą na mistrza w swoim zawodzie i zrobić w Szwajcarji majątek), że sprawczynią kradzieży była zdradzająca męża z jakimś studentem zegarmistrzowa, bohater dramatu zjawia się u swego dawnego pryncypała z zamiarem zrehabilitowania się w jego oczach, przez wyjawienie mu całej prawdy. Żona zegarmistrza już nie żyje od kilku lat. Staruszek nie wie o tem, że nieboszczka go zdradzała. Jeździ co tydzień na cmentarz, na jej grób, i wozi jej kwiaty. Pożałowawszy tego zacnego skądinąd człowieka, który wyrzucając go niegdyś z posady pod zarzutem złodziejstwa, ciężko go skrzywdził, dawny czeladnik, zamiast odkryć zegarmistrzowi prawdę, wmawia w niego, iż sprawcą kradzieży był poprostu djabeł. Szaniawski kładzie w tem miejscu akcent filozoficzno-nastrojowy, który w tekście, drukowanym w książce, wypadłby zapewne wyraźniej, niż wypada w transmisji radjowej. Zegarmistrzowi konkluzja wystarcza, radjosłuchacze jednak odkładają słuchawki z uczuciem pewnego rozczarowania. Po takim mistrzu dramatopisarskim jak Jerzy Szaniawski, spodziewaliśmy się wzruszeń głębszych. Stosunkowo najlepiej z całego słuchowiska, wyreżyserowanego przez panią Perzanowską, wypadło cykanie, tykanie, dzwonienie i bicie licznych, zegarów, zegarków i zegareczków w sklepie zegarmistrzowskim. Turkot pustych wozów węglarskich, przejeżdżających w pierwszym akcie obok magazynu w chwili, gdy zegarmistrzowa wykrada za plecami odwróconego od niej tyłem czeladnika, zegarek z gablotki — udał się znacznie gorzej. Nie wszyscy wykonawcy dramatu wygłaszali role wyraźnie. Jaracza (zegarmistrz) i Znicza (czeladnik) słyszeliśmy doskonale, ale pani Mieczysława Ćwiklińska (siostra zegarmistrzowej) mówiła chwilami o wiele za cicho.

S. J. G.

ZMARLI

† BOLESŁAW BRODOWSKI

Dnia 9 b. m. zmarł nagle, przeżywszy lat 51, ś. p. Bolesław Brodowski. Od dzieciństwa wychowany w tradycji patrjotycznej, syn powstańca-sybiraka i sybiraczki, już od wczesnych lat brał czynny udział w organizacjach narodowych. W życiu młodzieży akademickiej lwowskiej, w okresie poprzedzającym wybuch wojny światowej, zajmował stanowisko kierownicze: był jednym z wychowawców swojego pokolenia, zdobywszy w niem wyjątkowy, przez nikogo nie kwestjonowany autorytet moralny.

W latach wojny, znalazłszy się na emigracji, w głębi Rosji,—z wysiłkiem i narażeniem życia przedziera się do korpusu gen. Dowbora-Muśnickiego, gdzie jako szeregowiec pełni swoją powinność żołnierską. Straciwszy oko, niezdolny do dalszej służby wojskowej, resztę życia poświęca służbie administracyjnej w odbudowanem Państwie.

Trwałem dziełem jego pozostanie ustawa o meldunkach i księgach ludności (z d. 16 października 1930 r.), wraz z odnośną instrukcją (z dn. 27 listopada tegoż roku) —które jako radca ministerjalny w min. spraw wewn. we wszystkich szczegółach przygotował i opracował. Jaka idea przyświecała mu w tej robocie, najlepiej świadczą własne jego słowa, które we wstępie do objaśnienia powyższych ustaw[1]) umieścił:

> „W statystyce ruchu ludności uważny badacz dostrzeże, jak w zwierciadle, ukryte tam tajniki dziejów: zarówno zapowiedzi wielkości i świetności, jak przejawy upadku, widoki postępu i groźbę niebezpieczeństw, doświadczenie przeszłości i naukę na przyszłość... I wielkość praw i wielkość błędów... A Naród, posiadający w całej pełni tę wielką tajemnicę wiedzy, posiądzie znajomość siebie... Zdobędzie pewność czynu, spokój w pracy i czujność w trosce o przyszłość".

Całe życie ś. p. Bolesława Brodowskiego przeniknięte było jedną ideą: służby Polsce. W służbie tej nie znał wypoczynku, nie znał wahań, nie znał kompromisów. To też dla tych, którzy z nim zetknęli się bliżej, stanowił zawsze wzór prawości i obywatelskiego sumienia.

Cześć jego pamięci! R.

---

[1]) „Rejestry mieszkańców i meldunki w Polsce". (Podręcznik dla użytku władz administracji ogólnej, urzędów gminnych i osób prowadzących meldunki) opracował Bolesław Brodowski, Warszawa, 1930, str. 255.

Nie skąp pieniędzy na pracę narodową!

POKŁOSIE

SKANDALE

OKAZUJE SIĘ, że prasa naszych czasów, tak naogół wścibska, że nie oszczędza życia prywatnego i miesza się do najintymniejszych jego szczegółów, może być niekiedy nas podziw dyskretna. Czegoż np. czytelnik ogromnej większości gazet dowiaduje się o toczącym się obecnie w Paryżu procesie bandy Stawiskiego, lub co wie o skandalu z domami gry w Hiszpanji? Prawie nic. Ot tak, od czasu do czasu parę wierszy drobnym druczkiem gdzieś w obskurnym kącie dziennika i to wszystko. Nic dziwnego, w procesie paryskim i w skandalach hiszpańskich głównym oskarżonym jest masonerja i partje radykalne; jakaś więc tajemnicza, a potężna ręka czuwa nad tem, żeby się zbytnio o tych sprawach nie rozpisywano. Niech przeminą bez silniejszego echa i coprędzej zatrą się w pamięci publicznej.

Historycy, badający dzieje od zamierzchłych czasów, utrzymują, że republiki giną głównie przez złe finanse: muszą utrzymywać przy obfitym żłobie zbyt wielkie rzesze adherentów i tego na dłuższy dystans kraje nie wytrzymują. Ciężar finansowy okazuje się zbyt przygniatający, inaczej jest jednak z ciężarem moralnym. Sądząc z historji nowszych czasów wytrzymałość opinji na nadużycia, korrupcję i t. d. jest coraz większa i można już prawie postawić tezę, że dziś skandal finansowy, przekupstwo nie jest w stanie zdyskwalifikować i odsunąć od wpływów skompromitowanej grupy, czy stronnictwa. Społeczeństwa są dziś jakgdyby szczepione przeciwko zbytniej drażliwości moralnej.

Nie przyszło to odrazu. W dniach, kiedy i u nas spadł, często na Bogu ducha winnych ludzi, obfity deszcz odznaczeń i wawrzynów, godzi się przypomnieć, że we Francji pierwszy skandal publiczny wynikł z okazji kupczenia odznaczeniami. Jak wiadomo, rewolucja francuska uchwałą konwentu zniosła raz na zawsze i po wszystkie czasy ordery i odznaczenia. Rezultat jest ostatecznie taki, że podczas gdy za dawnej monarchji istniały trzy, czy cztery ordery, mające jeszcze resztki cech bractw religijnych, z których powstały, to w dzisiejszej republice jest orderów kilkanaście, służących przeważnie zadowoleniu próżności ludzkiej i nienakładających na posiadaczy żadnych obowiązków filantropijnych.

Pierwszy tedy skandal wybuchł za prezydentury p. Grévy, tego samego, który ku zmartwieniu poczciwego Rzeckiego przyszedł na miejsce marszałka Mac-Mahona i zagroził szansom „napoleonidów". Otóż zięć p. Grévy, nazwiskiem Wilson, korzystając ze stanowiska teścia, sprzedawał poprostu odznaczenia. Skandal był wielki, Grévy musiał ustąpić, opinja wzburzona. Dawne to czasy. Dziś handelek ten kwitnie i nikogo nie oburza, a jako jedyny protest można tylko zanotować powstanie stowarzyszenia kawalerów Legji Honorowej, dekorowanych za narażanie życia: nie czuli się widocznie dobrze we wspólnym tłumie z masą posiadaczy tego odznaczenia.

Później przyszła Panama. Reakcja opinji była jeszcze gwałtowna. Pozyskiwanie deputowanych i ich wpływów łapówkami było jeszcze nowością. Wielu z posłów musiało zejść z areny politycznej. Panama była jednak dziecinną zabawką, o ile chodzi o korrupcję obyczajów politycznych, w porównaniu z aferą Stawiskiego, która wykazała, że nietylko odosobnione parszywe owce, lecz całe stronnictwo radykalne było na żołdzie oszusta i świadomie popierało jego matactwa wzamian za łapówki osobiste i wkłady do kasy wyborczej partji. Skandal był tak wielki, że ulica się wzburzyła i obaliła rząd, mający zaufanie parlamentu. Lecz co się stało potem? Paru pionków zostało postawionych pod sąd, a skompromitowane stronnictwo pozostaje nadal spokojnie u steru, odnosi zwycięstwa w wyborach, jego menerzy są w dalszym ciągu ministrami. O samej zaś sprawie coraz głuszej i nawet o procesie, jak widzimy, pisze się bardzo mało! Edukacja społeczeństwa postąpiła!

O skandalu hiszpańskim mało kto nawet wie. Ot drobnostka: jakiś tam holenderski żydek, nazwiskiem Strauss, pragnął wprowadzić do Hiszpanji ruletkę. Jest to zabronione ustawowo, ale on miał przecież ruletkę nie zwykłą, tylko „naukową", poruszaną nie ręką krupiera, jeno elektrycznie. A, to co innego. Wnet znaleźli się: syn premjera Lerroux (w stronnictwie radykalnem mówią, że na szczęście „tylko naturalny"), szef policji Valdivia, minister spraw wewnętrznych Salazar Alonzo, deputowany radykalny Pich y Pon, imiennik znanego pisarza Blasco Ibanez i wielu innych, którzy gotowi byli poprzeć starania Straussa i zbadać, o ile jego naukowa ruleta jest moralniejsza od zwykłej. Po urzędowych próbach w ministerstwie doszli do przekonania, że ustawa się do niej nie stosuje. Otwarto z hałasem dom gry w San Sebastian, lecz okazało się, że biedny Strauss nie może podołać wymaganiom tej bandy protektorów. Gdy niezaspokojony nowy minister zamknął mu ruletkę, Strauss ogłosił całą całą aferę. Bez wielkiego skutku. Stronnictwa zachowały się wobec skandalu powściągliwie, a świat mało o nim wie.

Tak się to dzieje na szerokim świecie. U nas, mówią, chwała Bogu cisza. Klemens Junosza mówił podczas Panamy, że ludzie u nas by się znaleźli, tylko kanału niema. Pewno, wedle stawu grobla. A gdyby tak poskrobać nieco głębiej owego Mojsie Lewina i ten legjon zasłużonych, o których pisano niedawno?

ARGUS

NA MARGINESIE

Czcigodnemu Janowi Gwalbertowi Pawlikowskiemu słusznie należał się „wawrzyn" nietylko za studja literackie, ale i za pełną inicjatywy propagandę idei ochrony przyrody. Szkoda tylko, że czynniki, które lewą ręką uwieńczyły go laurem, prawą zburzyły całą jego pracę w Tatrach, aby je ozdobić lunaparkiem.

Kogóż Akademja Literatury uwieńczy bobkowym liściem za ten bobkowy lunapark?

*

Żydowski „Nasz Przegląd" w numerze z dnia 10 b. m. zamieścił zbiór „zapomnianych przysłów żydowskich". Przytaczamy kilka najbardziej uroczych:

„Kto wdepnie, ten i wybrnie..."

„Lepszy jeden uczciwy policzek, niż fałszywy całus".

„Jak się babcia Krajńcia wystroi, to jej nie poznają nawet swoi"...

*

Przykład prozy akademickiej:

P. Juljusz Kaden-Bandrowski w przemówieniu na dorocznem zebraniu Polskiej Akademji Literatury w dniu 8 listopada r. b. mówił m. in.

„...Zjawi się taki prorok, jak Stanisław Wyspiański i całą naszą historję pławić będzie w strugach przemijania dziejów..."

Z równą słusznością mógłby powiedzieć: „pławić będzie dzieje w strugach przemijania historji".

Cała mowa w takimże stylu. Prawda, jakie to mądre i zrozumiałe?..

*

— Jak wytłumaczyć fakt, że rozdając „wawrzyn" za krasomówstwo sądowe, Akademja Literatury, pominąwszy najznakomitszych przedstawicieli polskiej palestry, wyróżniła, niemal *in corpore*, ławę obrończą z procesu Gorgonowej?

To bardzo proste... Tych właśnie znała... Najwidoczniej sprawozdania z tego procesu stanowiły ulubioną lekturę naszych nieśmiertelnych...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półroczne zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.